NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX Kraków, 4 lutego 1922. Nr. 5.

Renegat mordercą własnego ojca



Siedmnastoletni Franciszek Lewandowski w Dortmundzie zadaje swemu ojcu toporkiem śmiertelny cios, gdy tenże żądał, aby synowie oświadczyli się, że są Polakami.

Lwów w rocznicę powstania styczniowego.

Choć się jest Krakowianinem z urodzenia i z miejsca stałego zamieszkania, choć się kocha te stare mury, tak drogie sercu każdego Polaka, trudno jednak nie zgodzić się na to, że serce Polski, jak Kraków słusznie nazywają, powoli jakoś stygnie i mniej, niż inne miasta polskie, bierze udział w życiu narodowem. Dowodów na to mamy aż nazbyt wiele, obchody patryotyczne przechodzą u nas jakoś tak cicho i mdło, jak gdyby chciano się ich tylko pozbyć. A chyba dziś, w wolnej Polsce nikt nie potrzebuje obawiać się o to, aby przez manifestowanie swych uczuć patryotycznych i pamięci o tem, co dla nas powinno być świętem i nigdy niezapomnianem, miał na siebie ściągnąć zarzut nielojalności, jak to było kilka lat temu jeszcze wstecz, gdy na naszych austrofilach cierpła skóra ze strachu, by nas Wiedeń przypadkiem nie uznał za zdrajców i rewolucyonistów, niebezpiecznych dla całości c. k. monarchii. Czasy te minęły, jak sen, ale widocznie nie minęła jeszcze ta dusząca nas dawniej zmora, albo też mieszkańcy Krakowa mają głowy zaprzątnięte czemś ważniejszem i trudno im znaleźć czas na pamiętanie o tem, co było, a o czem się już po większej części zapomniało.

Świeży przykład mamy na obchodzie pięćdziesiątejdziewiątej rocznicy powstania styczniowego, która byłaby się zapewne ograniczyła do wspomnienia sobie przez tego lub owego, że ją niegdyś u nas obchodzono, gdyby urządzeniem jej nie była się zajęła organizacya „Strzelca“, choć było to obowiązkiem komitetu obywatelskiego, w skład którego powinni byli wchodzić przedstawiciele wszystkich sfer i wyznań.

Jakże inaczej wypadł ten obchód narodowy we Lwowie, który do miana „serca Polski“ pretensy sobie nie rości, ale na każdym kroku daje dowody, że bije w nim serce naprawdę polskie.

Tegoroczny obchód styczniowy rozpoczął się w sobotę, dnia 22 stycznia odczytem p. Chołodeckiego, wygłoszonym w ratuszu. P. Białynia Chołodecki, uczestnik powstania, rozsnuł przed oczyma słuchaczy krwawe wypadki tego roku i udział Lwowa w owym świętym porywie zbrojnym, scharakteryzował też rolę Austryi w tłumieniu powstania. Odczyt jego nagrodzili obecni rzęsistymi oklaskami.

W niedzielę rano po uroczystem nabożeństwie w kościele OO. Jezuitów i okolicznościowem kazaniu, wygłoszonem przez ks. Dzędzielewicza, odbyła się pod pomnikiem Mickiewicza defilada wojsk polskich przed weteranami powstania.

O godz. 11. rozpoczęła się w ratuszu uroczysta Akademia, podczas której wygłosił odczyt jeden z weteranów powstania prof. Syroczyński.

Wieczorny obchód w Sokole z współudziałem chóru „Barda“, zespołu mandolinistów Sokoła, oraz orkiestry zakończył uroczystości styczniowe, które w tym roku może z powodu silnego mrozu wypadły jakoś mniej okazale niż zazwyczaj.



Lwów w rocznicę powstania styczniowego: Grupa uczestników powstania w r. 1863. podczas defilady wojsk polskich. Fot. M. Münz, Lwów.

„Łomnica“.

Przy ulicy Gliwickiej w Bytomiu wznosi się budynek, z którym łączą się bardzo silnie losy tej prastarej Piastowskiej dzielnicy. Tu rozstrzygały się one w ostatnich latach, była to twierdza narodowa, broniąca polskości Górnego Śląska.

Jest to budynek wąski o kilku tylko oknach frontu, trzypiętrowy, dawniej hotel i własność Lomnitz, dlatego zwyczajem niemieckim nazwany od nazwiska właściciela „Lomnitz“, dziś określony przez nas Łomnica.

W domu tym tworzyła się w ostatnich trzech latach historya najstarszej dzielnicy polskiej Staropolski. Poseł Wojciech Korfanty, jako komisarz Rządu polskiego kupił ten hotel na własność Państwa polskiego i począł tam organizować sprawny i wielki aparat plebiscytowy. Chodziło przecież o prastarą ziemię polską, o lud polski, który sześć wieków żył w oderwaniu od Macierzy, pod najwyszukańszym terrorem i uciskiem prusacyzmu, a mimo to zachował ojczystą mowę, obyczaj i wiarę. Jednak duszę tego ludu przerobił pruski system



„Łomnica“: Poseł Korfanty w otoczeniu naczelników Wydziałów Polskiego Komisaryatu Plebiscytowego w Bytomiu na dziedzińcu „Łomnicy“.

szkolny i kościelny, pruska demoralizacya serca, umysłu, poczucia i pojmowania prawa. Z tego względu trzeba było w przeciągu mniejwięcej dwu lat zawrócić lud z pruskiej drogi myślenia i skierować go w stronę polskiej, narodowej ścieżki. Kto nie patrzał na tę pracę często syzyfową, kto nie przeszedł osobiście tych strasznych drgawek politycznej i narodowej nienawiści, kto nie mówił z polskim ludem pod terorem niemieckich browningów, pałek i nienawiści, ten niełatwo pojmie, w jakich warunkach pracownicy plebiscytowi szerzyli myśl narodową na terenie plebiscytowym. Poseł Korfanty pracował dzień i noc w Łomnicy, jakby jaki więzień stanu, nie wychodząc wcale poza obręb Łomnicy, gdyż na ulicy czyhała na niego żmija hakatystyczna uzbrojona w browning i bombę. A mimo to wyjeżdżał często samochodem na wiece ludowe, przemawiał, nawracał obałamuconych i jako syn ludu górnośląskiego nawoływał do wierności dla narodu i Państwa polskiego. Odwagą swoją zadziwiał Niemców, wymową swoją, wiedzą barwną i logiczną porywał tłum i powiedzieć można słusznie i sprawiedliwie, że tylko jego niestrudzona praca, jego rycerska odwaga, geniusz i zmysł organizacyjny wyzwoliły część ludu polskiego z pod bata pruskiego i wróciły go niepodległej Polsce.

W Łomnicy zorganizował poseł Korfanty aparat plebiscytowy nadzwyczaj sprężyście i celowo, poruszył wszystkie sprężyny i kółka życia politycznego, społecznego i gospodarczego. Za jego inicyatywą i poparciem powstały polskie związki zawodowe, śląski Związek rolniczy, liczne kółka i kooperatywy rolnicze, stowarzyszenia kobiece, śpiewackie i oświatowe, konsumy i inne, tak, że poseł Korfanty wszedł w swój lud nietylko z pracą narodową, albo plebiscytową, ale przedewszystkiem z oświatą, z kulturą narodową tak umysłu, duszy i serca, jak też gospodarczą.

Pod jego silną, sprężystą i zręczną ręką poznał lud górnośląski nagle, co to jest swoboda i wolność; przecierał oczy i przejrzał i gdyby Koalicya nie była pozostawiła na Śląsku pruskiej administracyi, sądów, policyi, pruskiego systemu rządów a z tem wszystkiem obawy powrotu strasznych i ciężkich rządów pruskich, cały Górny Śląsk byłby się oświadczył za Polską i nie pomógłby nawet terror 200.000 emigrantów, sprowadzonych z Niemiec na dwa tygodnie przed głosowaniem.

Z Łomnicy promieniowała myśl narodowa i dobrze zorganizowana praca na cały kraj! Nie dziw też, że była ona przedmiotem strasznej nienawiści hakatyzmu. Dzień i noc pilnowali Niemcy i szpiegowali pracowników plebiscytowych i czyhali na dogodną sposobność do napaści. Kilkakrotnie też zorganizowano atak na Łomnicę, pomijając tysiączne, całodzienne strzelaniny i napady, do których jakoby do drobnostki, przyzwyczaili się pracownicy plebiscytowi. Poseł Korfanty musiał z powodu tego uczynić z Łomnicy twierdzę. Wejścia broniły ciężkie stalowe podwoje, okna i schody okratowano i utwierdzono żelazem na każdem piętrze, liczna straż broniła dzień i noc budynku przed napadem bandytów.

W Łomnicy też pracowano, jakoby w oblężonej twierdzy, a mimo to praca szła naprzód wesoło, z zapałem i karnie. Tam rozegrały się bardzo ważne wypadki polityczne i tam zgromadzeni w dniu 30 kwietnia 1920 r. Górnoślązacy zażądali od posła Korfantego, by stanął na czele trzeciego powstania.

W tym czasie Łomnicę ożywiała niebywale idea narodowa, pracowano z wielkiem poświęceniem i zaparciem. Obecnie Łomnica spoważniała, ucichła i ze smutkiem patrzy, iż pozostała w niewoli. Łomnica pozostała własnością Państwa polskiego i urzęduje w niej konsul polski. Na zawsze żyć w niej będzie myśl polska i bić serce polskie. Na zawsze zdobić ją będzie polski Orzeł Biały i, kto wie, czy nie przyjdzie czas, w którym rozwinąwszy swe skrzydła, nie ujrzy i nie dożyje wyzwolenia tej części piastowskiej ziemi, która pozostała niewyzwoloną.

Dr. Julian Skulski.



Wybitna Amerykanka w Częstochowie: Pułkownik francuski, pani dr. med. Berger, w towarzystwie insp. Misyi Kat. dla Polski, Taylor'a i rejon. insp. Pol Amer. Kom Niesienia Pomocy Dzieciom, Spiczyńskiego.
Fot. E. Reimschüssel, Częstochowa.

Przesilenie gabinetowe w Rumunii.

Dla Polski, której interesy związane są ściśle z interesami Rumunii, nie jest bez znaczenia zmiana gabinetu rumuńskiego.

Rząd utworzony przez p. Take Jonescu krótki miał żywot. Na pierwszem posiedzeniu, na którem się przedstawił parlamentowi, wyrażono mu wotum nieufności i musiał ustąpić. Obalili go posłowie siedmiogrodzcy, których się nowemu premierowi powieść zyskać nie udało. Król powierzył formowanie nowego rządu przywódcy stronnictwa liberalnego, p. Bratianu. Stronnictwo liberalne jest silne w kraju, lecz słabe w parlamencie. Wskutek tego musi nastąpić rozwiązanie parlamentu i nowe wybory, które według wszelkiego prawdopodobieństwa dadzą większość nowemu rządowi.

Bratianu usunął się w r. 1919 w czasie konferencyi pokojowej, gdyż nie chciał podpisać traktatu o mniejszościach narzuconego Rumunii przez Radę Najwyższą. Ludzie, znający stosunki wewnętrzne Rumunii, nie wątpili wszakże, że rola polityczna Bratianu nie jest skończona, zarówno ze względu na jego zalety osobiste, jak i ze względu na wpływy, jakie posiada w kraju. Stronnictwo lieralne w Rumunii jest właściwie konserwatywnem, trzeba więc było pewnej reakcyi przeciw nastrojom okresu rewolucyjnego, by umożliwić powrót do władzy politykowi umiarkowanemu. Podobnie jak w całej Europie, odbywa się w Rumunii reakcya przeciw zamętowi powojennemu, ludność pragnie normalnych warunków pracy i większej stałości w stosunkach, stąd zwrot ku politykom, którzy dali dowody umiejętności rządzenia i ku stronnictwom społecznie um'arkowanym. Przyjście do władzy Bratianu jest też jednym z charakterystycznych objawów, odbywającej się w Europie ewolucyi na prawo.

Na terenie polityki zagranicznej rząd Bratianu będzie w zasadzie kontynuował politykę swych poprzedników, to znaczy politykę porozumienia z Francyą. Bratianu jest przedstawicielem większej niezależności od potężnych sojuszników zachodnich, niż Take Jonescu, który jest bardzo ściśle związany z kołami radykalnemi we Francyi. Prowadząc zaś politykę bardziej niezależną, będzie musiał tembardziej dbać o dobre stosunki z bliskimi sąsiadami, a więc przedewszystkiem z Polską. Wiemy dobrze, że były prezes ministrów Take Jonescu był gorącym zwolennikiem sojuszu z Polską i że jako minister spraw zagranicznych w gabinecie gen. Averesco był jednym z autorów traktatu z nami. Możemy liczyć z całą pewnością na to, że Bratianu będzie kontynuował w stosunku do Polski politykę swego poprzednika.



Przesilenie gabinetowe w Rumunii: Jan Bratianu, nowy premier rumuński.

Wraz z upadkiem Take Jonescu zachwianem też zostaje ostatnie jego dzieło, a mianowicie umocnienie węzłów pomiędzy Rumunią a Jugosławią przez małżeństwo króla S. H. S. Aleksandra z jedną z księżniczek rumuńskich. Ten związek rodzinny miał stanowić pendent do podobnego a niedawno zawartego związku dworów rumuńskiego i greckiego i uzewnętrzniać zwycięstwo koncepcyi, której od dawna hołdował Take Jonescu, a mianowicie by stworzyć związek Rumunii na północy z Czechami i Polską, na południu zaś z Jugosławią i Grecyą. Trójzwiązek serbsko rumuńsko-grecki miał stanowić asekuracyę wspomnianych państw z jednej strony przeciw Węgrom, z drugiej zaś przeciw Bułgarom. Bodaj jednakiej doniosłości były konsekwencye pośrednie tego trójprzymierza, a mianowicie wyraźne jego ostrze antywłoskie, nadane mu głównie przez Jugosławię zasadniczego dziś antagonistę Włoch nad Adryatykiem; nie ulega też kwestyi, że sformowanie takiego związku krzyżowało w dużej mierze rachuby polityki francuskiej na Bałkanie zarówno ze względu na Grecyę jak i przez uniemożliwienie sojuszu serbsko-bułgarskiego, który oddawna przygotowuje polityka francuska.

Upadek Take Jonescu, który przed niespełna dwoma tygodniami doprowadzić zdołał do zaręczyn



Przesilenie gabinetowe w Rumunii: Dotychczasowy prezydent gabinetu rumuńskiego, Take Jonescu.



Opieka nad inwalidami: Jeden z kiosków, w których inwalidzi wojenni we Lwowie sprzedają gazety i różne drobiazgi.

króla Aleksandra z królewną rumuńską Maryą postawił zarówno to małżeństwo jak i całą koncepcyę pod znakiem zapytania. Bratianu uchodzi za nieprzyjaciela Serbii a zbliżenia się do Słowian wogóle, przewidują też, że zechce pójść za tymi coraz to silniejszymi w prasie rumuńskiej głosami, zwracającymi się przeciw zacieśnianiu stosunków z państwami Słowiańskiemi. W praktyce oznaczałoby to politykę ugody wobec Niemiec, przedewszystkiem zaś wyrówna nie stosunków z Węgrami.

Prócz premiera Bratianu zaliczanego do najwybitniejszych sił politycznych Rumunii, zasiadają w gabinecie dwie jeszcze wybitniejsze indywidualności. Jedną jest brat premiera, minister skarbu, potentat finansowy, którego zmysłowi organizacyjnemu zawdzięcza partya liberalna w dużej mierze ową silną pozycyę w kraju. Polskę interesuje w szczególności drugi wybitny mąż stanu nowego gabinetu p. Duka, minister spraw zagranicznych. P. Duka jest profesorem uniwersytetu, cieszy się znaczeniem, jako powaga w świecie naukowym, w stosunku zaś do Polski od dawna zaznaczał swą życzliwość i ogłosił szereg rozpraw, dotyczących spraw polskich. Można zatem żywić pewność, że po objęciu przezeń kierownictwa spraw zagranicznych dotychczasowe korzystne stosunki polsko rumuńskie nietylko zostaną utrzymane, ale i doznają dalszego wzmocnienia.



Opieka nad inwalidami: Kiosk betonowy u zbiegu ulic Wiślnej i Franciszkańskiej w Krakowie, przeznaczony na miejsce sprzedaży gazet i t. d.

Opieka nad inwalidami

Społeczeństwo nasze nie zapomina o tych, którzy piersią swoją bronili je przed wrogiem i stara się wszelkimi sposobami o przyjście im z pomocą i zapewnienie na starość spokojnego, a uczciwie zarobionego kawałka chleba, na który sobie bezsprzecznie zasłużyli.

Akcyę w tym kierunku rozwinięto bardzo wydatnie i w rozmaitych kierunkach. Między innymi otrzymało we Lwowie kilkudziesięciu inwalidów w zeszłym roku licencyę na sprzedaż gazet i różnych drobiazgów w kramikach, rozmieszczonych w różnych punktach miasta. Spełniono tem samem uczynek dobry i godny pochwały, dano bowiem możność rych sprzedaż w czasie mrozów jest możliwa. Akcyę w tym kierunku powitają inwalidzi nasi z prawdziwą wdzięcznością.

O czemś podobnem pomyślano już i w Krakowie i od pewnego czasu istnieje u zbiegu ulic Wiślnej i Franciszkańskiej, frontem zwrócony ku Zwierzynieckiej, piękny kiosk betonowy, w którym inwalida wojenny sprzedawał gazety i różne drobiazgi, po jego śmierci zaś objęło go towarzystwo Opieki nad inwalidami. Należy się spodziewać, że podobnych miejsc sprzedaży tak pokupnych artykułów, jakimi są gazety, przybory piśmienne, a po ustaniu „głodu tytoniowego" tytoń, cygara i papierosy, znajdzie się więcej w naszem mieście, a wszystkie oddane będą w ręce inwalidów.



Przesilenie gabinetowe w Rumunii: Małżeństwo polityczne, Aleksander serbski i Marya rumuńska które z powodu upadku gabinetu Take Jonescu prawdopobnie nie dojdzie do skutku.

godziwego, a możliwego dla inwalidów, pozbawionych często zdolności do pracy fizycznej, zarobku. Kramiki te prosperują nieźle, jednak przy nadawaniu ich nie liczono się z tem, że z chwilą nadejścia zimy i mrozów, utrudnione ogromnie zostanie wykonywanie zajęcia przez inwalidów, bo trudno wyobrazić sobie, by właściciel kramiku mógł zajmować swe stanowisko na ulicy w czasie mrozu przez cały dzień i... nie przeziębić się i nie zachorować. Była to kwestya piekąca i obecnie nawet częściowo z niej wybrnięto, stwarzając w miejsce kramików — kryte murowane kioski. Dotychczas pojawiły się na ulicach cztery takie kioski, z których wpadają w oczy zwłaszcza pięknie wykonane kioski przy kawiarni wiedeńskiej i obok gmachu Kasy Oszczędności. W kioskach publiczność zaopatrywać się może w gazety, przybory do pisania, papierosy i inne drobiazgi. Obecnie w kiosku przy kawiarni wiedeńskiej nabyć będzie można wszelkie pisma, nawet zagraniczne, illustrowane, oraz broszurki, czego nie można było pomieścić w szczupłym kramiku. Powstanie tych kiosków powitać należy z uznaniem, jako częściowe przynajmniej spłacenie długu, zaciągniętego przez społeczeństwo wobec naszych inwalidów. W ślad za tem powinna nastąpić budowa dalszych kiosków w miejsce kramików, przy któ-

Wybitna Amerykanka w Częstochowie.

Ile Ameryce zawdzięczamy, o tem wie każdy, kto patrzy na szeroko rozgałęzioną działalność humanitarną naszych przyjaciół z za Oceanu, którzy z całem poświęceniem się starają się dopomódz do wyjścia z tego strasznego położenia, w jakiem znaleźliśmy się bez naszej winy dzięki wojnie światowej. Opieka nad naszym żołnierzem w polu, poza frontem, spieszenie z pomocą ludności cywilnej, dotkniętej głodem i niedostatkiem, walka z epidemiami, dziesiątkującemi mieszkańców niemal całego kraju, są jednak niczem wobec przysług, jakie nam Ameryka wyświadczyła, zajmując się losem nieszczęśliwych dzieci, których dziesiątki tysięcy jej zawdzięcza swe życie i zdrowie. Pomoc ta, obmyślana bardzo mądrze, a planowo i racyonalnie prowadzana aż do ostatniego punktu ze skrupulatnością, o jakiej nawet nie mieliśmy pojęcia, jest akcyą ratunkową, rozwiniętą na taką skalę, z jaką dotychczas nigdy się jeszcze spotkać nie udało.

Naszym instytucyom filantropijnym nie można zarzucić, aby nie spełniały należycie obowiązków ale przyznać się musi, gdyby nie pomoc Ameryki nie potrafiłyby tego dokonać, a przynajmniej przy

RENE BURES.

Zil=X...

11) Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Dalton z szacunkiem podszedł do niej i podprowadził do fotelu, gdzie usiadła, zmięszana trochę i niespokojna.

— Pan zapewne wie o ciężkich ciosach, jakie spadły na mnie w tym czasie — zaczęła głębokim, dźwięcznym głosem.

— Wiem, proszę pani — odpowiedział Dalton, patrząc ze współczuciem na jej bladą twarz.

— Zostałam sama na świecie z tem strasznem, niezapomnianem wspomnieniem. Kilka dni temu udałam się do dyrektora policyi i prosiłam go o pozwolenie interesowania się przebiegiem śledztwa. Bo ja chcę, panie, ja chcę wiedzieć, komu zawdzięczam moje nieszczęście.

— I dyrektor policyi się zgodził?

— Nie panie, odmówił. Powiedział mi, że moja pomoc byłaby mu niepotrzebną — że chce mi oszczędzić wzruszeń, jednem słowem wynalazł różne powody, aby mi tylko odmówić. Wtedy pomyślałam o panu. Niech mi pan to za złe nie bierze. Niemam już żadnych krewnych prócz pana i pani de Limandoux, którzy są już starzy ludzie. Oni mi w niczem pomóc nie mogą... Więc... — Wyciągnęła z torebki portfel wypełniony i podała Daltonowi, mówiąc z pewnem zmięszaniem. — Oto dziesięć tysięcy franków... Jeżeli panu potrzebna będzie większa suma, to poproszę o uprzedzenie mnie.

Ale Dalton łagodnym ruchem odsunął jej rękę.

— Proszę pani — rzekł. — Jesteśmy co prawda detektywi, ale innej kategoryi... wyjątkowej... pieniędzy pani przyjąć nie mogę.

— A więc pan także nie chce mi dopomóc?

— Nie, owszem, dopomożemy pani. Ale bezinteresownie. Będziemy od dziś do dyspozycyi pani o każdej godzinie. Może pani nami rozporządzać do woli. Niech pani nie sądzi jednak, że się chcemy narzucać jako bezinteresowni opiekunowie czy przyjaciele. My również jesteśmy zainteresowani tą sprawą, więc przybierając panią do pomocy, nie wyświadczamy jej żadnej przysługi.

Panna de Beaumont zastanawiała się chwilę. Spojrzała bystro na Daltona, potem na mnie, następnie z wyrazem uspokojenia na twarzy schowała portfel do torebki.

— Jednakże pozostanę dłużniczką panów — wyrzekła z zakłopotaniem.

— Bynajmniej. Może nam pani oddać wiele ważnych usług. Czy pozwoli pani zatem zadać parę pytań?

— Słucham pana.

— Pani wie o aresztowaniu pana Jerzego Dambleuse — nieprawdaż?

— Tak panie, oświadczyła panna de Beaumont blednąc lekko.

— Nie ośmielam się żądać od pani zwierzenia — ciągnął dalej Dalton. — Chciałbym tylko otrzymać od pani parę wyjaśnień. Od jak dawna łączyły rodzinę pani z panem Jerzym Dambleuse stosunki towarzyskie?

— Od dwóch lat mniej więcej. Poznaliśmy go w Vichy, gdzie dziadek mój przebywał na kuracyi. Pan Jerzy Dambleuse mieszkał w tym samym hotelu. Po wyjeździe z Vichy odwiedził nas w willi „Bzów".

— Czy nie wydał się pani kiedy niespokojnym, zamyślonym, jak człowiek ukrywający jakąś tajemnicę?

— Oh! nie! — zawołała panna de Beaumont — To był człowiek szczery i lojalny.

Ale natychmiast domawiając tych słów zaczerwieniła się silnie. W gorącem tem oświadczeniu zdradziła własne uczucia. Umilkła na chwilę i znowu podjęła z szczerą brawurą i energią.

— Proszę pana, niemam potrzeby ukrywać przed panem tego, co jutrzejsze dzienniki wyjawić mogą. A przytem przyszłam przecież prosić pana o pomoc! Tej pomocy pan mi nie odmówił — ażeby z niej jednak skorzystać muszę powiedzieć wszystko. Kochałam... kocham jeszcze pana Jerzego Dambleuse. Matka moja przyzwoliła na nasze zaręczenie się. Tak, proszę pana, Jerzy Dambleuse był moim narzeczonym. Pomimo mojej woli jednak stosunek ten się zerwał... pomimo mojej woli... i bez zrozumienia mojego dlaczego się tak stało.

Ciche łkanie przerwało dalsze jej słowa. Dalton szanując jej boleść milczał wpatrzony w nią z zajęciem.

— Opowiem panu wszystko po kolei — podjęła znowu spokojniejszym już głosem. — Mówiłam już, że byliśmy zaręczeni. Pewnego dnia — trzy tygodnie będzie temu, matka moja przywołała mnie do swojego pokoju. Powiedziała mi wówczas, że wyrzec się muszę dawnych projektów, że nie mogę być żoną Jerzego... pana Dambleuse. Prosiłam o wyjaśnienie, odpowiedziała, że zaszły rzeczy bardzo ważne tak ważne, że prosi mnie abym więcej nie nalegała i nie wymagała tłómaczeń.

— Tak się musi stać dla ciebie dla twojego dobra — powiedziała mi blada bardzo — i dla dobra honoru rodziny. To małżeństwo jest niemożliwe.

Byłam tak przygnębiona i zdumiona temi słowami, że znalazłam odwagę na opór wobec mojej matki. Zaczęłam nalegać, dyskutować, prosić. Powiedziałam w końcu, że mam prawo wiedzieć prawdę skoro chodzi o szczęście całego mojego życia. Matka moja odpowiedziała mi, że cierpi wraz ze mną, że kocha mnie zawsze, więc rozumi mój zawód i ból, ale nie może nic mi powiedzieć. W końcu z płaczem, całując mnie, wyznała, że nawet rozmowa o tym przedmiocie jest niebezpieczna dla nas i błagała mnie raz jeszcze bym jej nie zadawała żadnych pytań.

I powiedziała jeszcze rzecz jedną rzecz najstraszniejszą dla mnie, że muszę bezwłocznie opuścić Rainey, bez pożegnania z Jerzym, że może później zobaczę go jeszcze, ale na razie muszę usunąć się i ukryć w bezpiecznem miejscu.

— Gdzież się mam udać? — zapytałam.

— Do wuja twojego de Limandoux.

— To jeszcze nie wszystko. Matka moja po chwili wahania dodała jeszcze, że trzeba koniecznie postawić zaporę pomiędzy „niemi" a nami. Kto są ci „oni", to niewiem. Nie chciała mi także tego powiedzieć. Wytłómaczyła, że to niedosyć usunąć się z tych stron, że koniecznie muszę mieć innego narzeczonego i że tym narzeczonym będzie mój kuzyn, kapitan de Limadoux.

— Usłyszawszy to, zbuntowałam się. Powiedziałam, że zgadzam się na oddalenie, lecz nie zgodzę się nigdy zostać żoną mojego kuzyna, że kocham Jerzego Dambleuse i nigdy kochać go nie przestanę. Wówczas moja biedna mama rzuciła się do kolan moich i błagała mnie tak długo, że opierać się już nie mogłam. Widząc jednak moją rozpacz ta kobieta tak szlachetna i tak zacna zaproponowała mi pewien rodzaj oszustwa i podstępu. Poddała mi myśl aby zaręczyny moje z kapitanem de Limandoux uczynić prowizorycznemi. Oh! niech mnie pan zrozumie panie Dalton. Czy mogłam nie przyjąć tej wstrętnej coprawda kombinacyi, ale dającej mi słabą nadzieję urzeczywistnienia dawnych moich marzeń. W jakimże okropnym stanie rozpaczy i niepokoju musiała być moja biedna mama skoro sama poddała mi myśl takiego kompromisu! To samo utwierdziło mnie w przekonaniu, że rzeczywiście grozi nam jakieś straszne niebezpieczeństwo. Kapitan de Limandoux zjawił się jeszcze tego samego dnia u nas. Po obiedzie zbliżył się do mnie i rzekł.

— Nie chcę wywierać żadnej presyi na tobie kuzynko. Sama zechcesz oznaczyć datę naszego ślubu. Być może, że za czas jakiś będę ci mógł dać pewne wyjaśnienia, dziś byłyby one przedwczesne. Ale wiedz, że chcę otrzymać twoją rękę z własnej twojej woli. Teraz nie mówię do ciebie jako narzeczony, tylko jako obrońca. Pamiętaj, że bronić cię będę aż do śmierci.

Słuchaliśmy z Daltonem w milczeniu tego opowiadania notując w myśli każde słowo.

Lecz teraz Dalton przerwał nagle pannie de Beaumont, zapytując z naciskiem.

— Kapitan powiedział, „aż do śmierci"?

— Tak, to są jego własne słowa. Były one dosyć dziwne, dlatego utkwiły w mojej pamięci.

— Dziękuję pani — czy ma pani jeszcze co do powiedzenia?

— Cóż powiem więcej — westchnęła panna de Beaumont. — Czułam bezustannie, że wokoło mnie krąży jakieś niebezpieczeństwo, jakaś tajemnica, ukryta zbrodnia i że odemnie tylko zależy niebezpieczeństwo to usunąć. Ustąpiłam więc i zgodziłam się na prośbę matki.

Nazajutrz matka moja zawiozła mnie automobilem do mojego wuja. W drodze zbuntowałam się jeszcze raz ostatni. Jeszcze raz zapytałam się o wyjaśnienia, których udzielić mi nie chciała. Zaczęłam jej wówczas robić wyrzuty, że uprzedziła się do pana Dambleuse i zawołałam: „Mamo ty nie kochałaś nigdy Jerzego!" Na co ona wzruszyła ramionami w milczeniu.

— Pozostałam przez dni piętnaście u mojego wuja. Pilnowano mnie bardzo. Nie pozwolono mi przechadzać się samej po parku. O godzinie piątej wieczorem, zamykano już bardzo starannie drzwi i wszystkie okna zamku. Dano mi pokój pomiędzy sypialnym pokojem mojej ciotki i gabinetem starej służącej, która służyła u niej od lat dwudziestu. Wówczas nadeszło to straszne nieszczęście.... nie mam potrzeby o niem mówić... panowie wiecie lepiej odemnie.

Pana de Beumont musiała posiadać wielki dar panowania nad sobą. — Doprowadziwszy do końca to długie opowiadanie głosem spokojnym i stanowczym, rozpłakała się nagle.

— Milczeliśmy chwilę, aby jej dać czas do opanowania się.

— Pani — rzekł w końcu Dalton — od dziś poświęcimy się wyłącznie sprawie pani. — Proszę tylko panią o pewną rzecz. Musi pani wziąść jako pomoc oficyalną obecnego tu mojego przyjaciela Vallorbe i nie zechce nic przedsięwziąść bez jego porady. Jeżeli będzie pani zmuszona stanąć przy rozprawie sądowej, którą przewiduję, on będzie stałym towarzyszem pani. Czy zgadza się pani na moją propozycyę?

— Tak panie! — odpowiedziała z prostotą panna de Beaumont.

Oskarżony trwa w dalszym oporze.

Przeszedł dzień jeden, nie przynosząc ze sobą żadnego ciekawszego wydarzenia. Dzienniki jednak nie przestawały drukować coraz to dłuższych artykułów. Pragnieniem reporterów było utrzymać zaciekawienie publiczności w ciągłem naprężeniu. Wina Jerzego Damleuse stawała się już pewną dla wszystkich! Młody awiator był mordercą kapitana de Limandoux. Była to rzecz niezaprzeczona. Pozostawiając rewolwer swój w pokoju, gdzie dokonano zbrodni, temsamem zdradził się. Nikt jednak nie mógł wytłómaczyć sobie jasno, jak mógł Dambleuse popełnić taką nieuwagę i lekkomyślność. Podobne jednak sprawy zdarzają się dosyć często. Morderca poza tem inteligentny i sprytny, popełnia głupstwo, które go prowadzi do więzienia, a jednak cały plan jego przedsięwzięcia opracowany był starannie i umiejętnie.

Możnaby przypuszczać, że Jerzy Dambleuse po dokonaniu rzekomej zbrodni zmuszony był szybko uciekać przed obudzoną służbą, kręcącą się po korytarzach. Wówczas to w ostatniej chwili dla ratowania się poświęcić wszystko. Takiem było ogólne zdanie reporterów dziennikarskich. Dodawali oni jednak do niego setki niepotrzebnych szczegółów.

Tymczasem sędzia Giroux wykazywał pilność nadzwyczajną. Widywano go, przechodzącego przez korytarze Pałacu Sprawiedliwości z głową wysoko wzniesioną, uśmiechającego się do wszystkich pogardliwie lub niedbale. Na żadne interwiewy z reporterami nie zgadzał się, to też ci ostatni pałali ku niemu prawdziwą nienawiścią. Reporterzy jednak pomimo pogardliwego milczenia sędziego, radzili sobie doskonale i posiadali wszystkie potrzebne im wiadomości, krążące po Pałacu Sprawiedliwości. Dowiedziel się w sposób uboczny, że sędzia Giroux postanowił nie pozwolić oskarżonemu do przygotowania swojej obrony i że ma zamiar zawezwać go do przesłuchania zaraz po upływie legalnego terminu oznaczonego paragrafem. Adwokat Jerzego Dambleuse nie chciał się zgodzić na podobną taktykę, lecz sędzia w tym wypadku okazał się silniejszym od niego.

Nazajutrz więc po aresztowaniu Jerzy Dambleuse wprowadzony został przez dwóch policyantów do gabinetu sędziego śledczego. Reporterzy i to ograłowie, którym udało się go zobaczyć w przelocie, zauważyli, że oskarżony nie był wcale przygnębionym, że patrzył przed siebie i że twarz jego zachowała dawny wyraz energii i spokoju.

Zaraz po wprowadzeniu oskarżonego do gabinetu sędziego, rozpoczęło się badanie.

— Gdzie pan był w nocy, w której zamordowano kapitana de Limandoux? — zapytał sędzia Giroux.

— Nie wiem — brzmiała niedbała odpowiedź oskarżonego.
— Dlaczego pan wyjeżdżał konno?
— Nie wiem.
— Nie przypomina pan sobie, dokąd pan jeździł?
— Nie!
— Jednak pan nie może zaprzeczyć, że pan wyjeżdżał!?
— Ani zaprzeczam, ani przyznaję! Nie wiem o niczem!
— Czy rewolwer znaleziony przy zwłokach kapitana de Limandoux należy do pana?
— Tak!
— Poczem go pan poznaje?
— Po jego numerze!
— Jaki to był numer?
— 103.000.
— A więc panu pamięć wróciła!?
— Pamiętam numer mojego rewolweru, oto wszystko.
— I nie może pan sobie przypomnieć, gdzie się pan udawał tej nocy?
— Nie.
— Takie zapominania są szkodliwe!
— Być może.
— Trwa więc pan dalej w twierdzeniu, że nie pan jest zabójcą kapitana de Limandoux?
— Tak!
Ta odpowiedź wzburzyła zupełnie sędziego Giroux. Zapanował jeenak nad sobą, odetchnął głęboko i spojrzawszy surowo na oskarżonego ciągnął dalej:
— Dobrze! Bardzo dobrze! Przejdziemy więc do innego systemu pytań! Czy wyjeżdżał pan często w nocy konno?
— Nie wiem.
— Czy wyjeżdżał pan w ostatni wtorek?
— Nie przypominam sobie.
— Jednakże, pomimo złej pamięci wie pan co się stało we wtorek wieczorem?
— Nie.
— Nie? To ciekawe!?
— A tak! dosyć!
— A więc ja panu powiem. We wtorek wieczorem pan senator Poivrier, jego żona i pewien nieznajomy, zostali zamordowani w swojej willi w Rainey. Ta willa znajduje się w sąsiedztwie willi pana. Morderca lub też mordercy mieli ze sobą browning.
Oskarżony nie odpowiadał. Popatrzył tylko prosto w oczy sędziemu.
— Otóż — ciągnął dalej, coraz więcej denerwując się pan Giroux — wiemy, że pan wychodził we wtorek wieczorem z domu i właśnie we wtorek wieczorem miało miejsce to potrójne morderstwo. Pozatem wychodził pan jeszcze przedwczoraj z domu i przedwczoraj także dokonano morderstwa.
— Czy pan wie, że to są fakta bardzo obciążające pana?
— Doprawdy? — zapytał z zainteresowaniem Jerzy Dambleuse.
— Panie Dambleuse, porozumiemy się! — zawołał sędzia Giroux. — Nie byłoby w tem nic obciążającego, gdyby pan nareszcie zechciał powiedzieć, gdzie się pan udawał i mógł nam wykazać swoje alibi. Zreasumuję więc wszystkie moje pierwotne pytania.
— Zupełnie niepotrzebnie — przerwał oskarżony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

T. KAN.

„I WYSZEDŁ"

I.

— Więc znowu scena małżeńska?
— Nie! coś stokroć gorszego, bo cię opuszczam na zawsze.
— A niech się to już raz skończy. Mam dość wszystkiego.
— Prócz kart i picia!
— A żebyś wiedziała, że mi nic innego nie pozostaje.
— Mój Boże! jakże ślepą byłam przed pół rokiem. Mogłam być szczęśliwą przy boku zacnego, poczciwego człowieka.
— Tak, właśnie, ja ci świat zamknąłem. Nie znałaś mnie może?
— Cztery lata cię nie widziałam. Zresztą po co wspominać. Odchodzę spokojna. Mój posag złożysz w banku na moje imię.

. . . .

II.

Noc letnia i dużo gwiazd na niebie.
Usiadł w głębokim fotelu na tarasie trzechpiętrowego domu. Na stoliczku lampa z abażurem, flaszka i kieliszek. Dokoła niczem niezmącona cisza.
Rozwinął ostrożnie luźne kartki, zapisane nieznanem mu pismem.
Otrzymał je przed tygodniem. Nie wiedział, kto je pisał i skąd pochodzą. Stampilia zamazana, po znaczku pocztowym tylko ślad brudny. List znalazł w skrzynce, gdy po północy wracał do mieszkania. To go zdziwiło, bo wychodząc po dziesiątej wieczór, zaglądał do skrzynki. Była pusta. Pytał dozorcę domu, czy w międzyczasie otwierał bramę. Zaprzeczył. Trzęsącą ręką ułożył kartki i zaczął czytać:
„Notuję garść wrażeń o nim, a nie wiem dlaczego, ot poprostu mam wrażenie, że muszę. To był dziwny człowiek. Właściwie powinno było mu być dobrze, a jednak...

. . . .

„Dłuższy czas go nie widziałem. Ktoś mi wspominał, że wyjechał do Włoch w rozpaczy po zerwaniu z niedoszłą narzeczoną. Nie pożegnał się przed wyjazdem. Dzikus.

. . . .

„Dziś mi doniesiono, że leży w klinice.
Przy wysiadaniu z pociągu wpadł pod wóz i doznał zgniecenia nogi w udzie. Też szczęście! Całą podróż odbył bez wypadku i tak szkaradnie wycieczkę zakończył.
Muszę go odwiedzić.

. . . .

„Źle. Już mi się to nie podobało, że przy wejściu do szpitala nakazywano mi mało mówić i wybierać spokojne tematy.
Szara godzina, zapach szpitalny, system celkowy — wszystko to nastrajało mnie minorowo tak, że gdy wszedłem do pokoju chorego, miałem chętkę cofnąć się.
Zapóźno, spostrzegł mnie i poznał.
— Wiedziałem, że przyjdziesz. Siadaj.
— Jakże się czujesz?
— Nie mówmy o tem. Muszę ci coś o sobie powiedzieć.
— Tylko nie denerwuj się. Zajrzę jutro, pojutrze, to mi opowiesz.
— Wolę dziś. Widzisz, mój drogi, bo ja nie byłem szczęśliwy. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze wpoprzek stanęło jakieś „ale". Tęskniłem do ludzi, a byłem samotny. Należałem do rzędu porządnych i uczciwych. Ta poczciwość prześladowała mnie na każdym niemal kroku. Kobiety od pierwszego spotkania zapewniały mnie stale, że niewątpliwie będziemy niedługo dobrymi przyjaciółmi.
Poczciwy dla mężczyzn, przyjaciel dla kobiet!
To straszne wprost cnoty, powinienbym je dawno przekląć, gdyby nie to, że właśnie jestem poczciwy. Mężczyźni otwierali mi serca, kobiety nie miały przedemną tajemnic, nawet panienki spowiadały mi się ze swych miłosnych uczuć, ku innym naturalnie. Raz tylko było inaczej. Poznałem młodą panienkę. Sprzyjała mi widocznie, miałem tego liczne dowody. Zakochałem się po raz pierwszy w życiu i zdawało mi się, że byłem kochany. Na nieszczęście przyjechał kuzynek, którego nie widziano od czterech lat i zapomniała o mnie. Otrzymałem liścik z zapewnieniami dozgonnej przyjaźni... a ja kochałem tak bardzo...
— Przestań. Męczysz się. Lecz co to? Słoto — on zemdlał!

. . . .

— Nie mogłem zapomnieć, więc postanowiłem wyjechać do Włoch, dokąd zawsze tęskniłem. Przeklęty pomysł. Wyjechałem wieczornym kuryerem. Wsiadłem do przedziału II. klasy. Było tylko dwie osoby. Półmrok.
— Panu to nie przeszkadza?
— Proszę bardzo.
— Bo to nasza podróż poślubna.
Przypomniało mi się wszystko i całą noc oka nie zmrużyłem.
Zmęczony zajeżdżam rano do hotelu. W dzień zwiedzam miasto. Chciałem się przespać i nazajutrz jechać dalej. Coś mnie jednak tknęło i pytam portyera:
— Kto zajął sąsiedni numer?
— Młode małżeństwo...
I znowu noc spędziłem w wagonie. Znękany miałem jednak chwilę prawdziwego odpoczynku na statku w cudną noc z Tryestu do Wenecyi. Spędziłem ją na leżaku na górnym pokładzie. Obok spoczywała jakaś młoda kobieta. Nie przemówiliśmy do siebie ani słowa — lecz już sama jej bliskość dziwnie koiła moje nerwy — nie czułem się samotny. Zdawało mi się, że moja sąsiadka jest też zadowolona z mego niemego towarzystwa.
Miałem zamiar rankiem przedstawić się i ewentualnie wspólnie zwiedzić boską Wenecyę.
W tej myśli zeszedłem rano do bufetu na wspólną obrzydliwą kawę. Mojej nieznajomej nie było.
Wracam na pokład w chwili, gdy jakiś podtatusiały mężczyzna tuli do siebie moją nieznajomą. pokazując jej w oddali we wschodzącem słońcu kąpiącą się Kampanillę wenecką.
Na drugi dzień wieczór były wyścigi na kanale głównym i serenada o jedenastej w nocy.
Wśród tysiąca gondoli, jakie wyjechały na kanał, moja była najcichsza, byłem sam. Miarowy plusk wody — miliony różnokolorowych światełek, odbijających się w wodzie — dźwięk mandolin, hałaśliwych orkiestr i śpiewy, gwar i śmiechy, wpawiły mnie w rozpacz samotności, że zapłakałem jak dziecko.
Na Lido widok kąpiących drażnił mnie również, nadto cierpiałem na żołądek i raz po raz robiłem krótkie, ale za to szybkie wycieczki, w których znowu moja nieszczęsna samotność była mi bardzo na rękę.
Już miałem dość Wenecyi. Jeszcze bardziej zdenerwowany wracałem do kraju.
W powrotnej drodze przysiadła się do mnie jakaś nieznajoma jejmość, trzepała bezustanku i zaczęła mi się narzucać z troskliwą opieką, gdy niebacznie wspomniałem o swym stanie. Nieproszona opieka dla człowieka, który przyzwyczaił się do samotności, jest wynalazkiem z piekła. Nic dziwnego, że zdecydowałem się ulotnić niespostrzeżenie, skoro tylko staniemy u celu. Dlatego też wyskoczyłem z pociągu zanim stanął, no i...
— Zmęczyłeś się, cierpisz... Masz wypieki, gorączka wzrasta.
— To nic. Trzeba żebyś wszystko wiedział, bo ja já dotąd kocham, jak szaleniec. Żebym choć wiedział, że jest szczęśliwą. Może... możebym... kręci mi się wszystko... szumi... dźwięczy...
— Siostro, siostro — stało się coś strasznego. — Siostro ratunku!

III.

— Lampa ci już nie potrzebna — kartki porzuć. Wyszedłem do ciebie, by cię spytać, coś z nią zrobił?
— Ja nic. To ona — ona winna. Sama odeszła. Męczysz mnie. Litości!
— A tyś ją miał dla mnie? Zapomniałeś! Nie umiałeś być szczęśliwy i mnieś nie dał. A ona zamiast wybrać duszę wybrała ciało; boś ty nigdy duszy nie miał.
— Nieprawda!
— Więc szukajmy. Biorę twe serce. To niekształtny worek krwisty. Tylko go w dół cisnąć. I tu i tu nie ma. Same kawałki ciała. Ot nogi, ręce, głowa, co się toczy po tarasie i o mur obija. I już cię nie ma. I nigdy cię nie będzie, już się w całość nigdy nie złączysz.
— Dlaczego, przez litość!?
— Duszy ci brak. Patrz na mnie, ja wyszedłem z siebie i jestem i trwać będę wieki.

. . . .

IV.

— Najdroższa żoneczko! Wracaj natychmiast. Przebacz mi i zapomnij, a ja ci najuroczyściej przysięgam, że się zmienię i poprawię. Ciebie jedyną kocham i kochać będę. Twój....

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

2)

— Nie... patrzy on wprawdzie w tę stronę, ale tylko żeby się przekonać, czy ta łupina orzechowa, którąśmy rozbili po drodze nie zrobiła jakiej szkody naszemu okrętowi. Wszak wiesz, że porucznik Tompson wiecznie raporta pisze.

— Dokończże więc twojego Ascocie! Jakże przedstawiłeś rzecz całą tym dwunastu naczelnikom, których dopiero co mi wymieniłeś?

— W bardzo prosty sposób, stawiłem wszystko na kartę.

— Takim sposobem jedynie wygrać można, i cóż?

— Powiedziałem im, rzecz chodzi o to...

— No, no, przecie ja wiem o co chodzi, mów dalej.

— Naprzód trzeba się zapewnić co do osoby kapitana Forstera.

— Dalej.

— Dalej to samo uczynimy z wszystkimi porucznikami.

— A co do innych oficerów?

— Co do innych, to zobaczymy później.

— Więc tobie się zdaje, że oficerowie będą trzymali z nami?

— Tak, przynajmniej młodsi. — Pomyśl tylko, jak się przekonają, co to będzie za zabawa, jaka rozkosz...

— Wierzaj mi Ascocie, nie rachuj bardzo na to, i bądź na każdy wypadek przygotowany. Cóż dalej?

— Wymogłem na nich przyrzeczenia, że skoro staniemy się już panami Niagary, ani kapitanowi ani żadnemu z oficerów sztabowych włos z głowy nie spadnie. Rozbroimy ich tylko, i będziemy pilnowali, żeby nam nie przeszkodzili.

— Czyż przyjęli ten warunek?

— Wszyscy. Oświadczyłem im, że nie wolno dopuścić się na statku żadnego rabunku ani kradzieży, i na to zgodzili się także.

— A to aniołowie, nie ludzie. A co do mocnych trunków, jakżeż tę rzecz ułożyłeś.

— To jakoś trudniej poszło mi, niż reszta.

— Spodziewałem się tego, ale płyń dalej Ascocie, jakżeż?

— Chcieli wszyscy po opanowaniu okrętu użytkować dowolnie z 150 baryłek rumu, które są na nim. Nie pozwoliłem na to, mówiąc że ty będziesz miał straż wyłączną nad rumem, i bez twego rozkazu ani kropla tego napoju uronioną być nie może.

— I przystali nareszcie?

— To jest pod warunkiem, że im potrójna racya będzie udzielona.

— Potrójna racya, to strasznie wiele do licha.

— Nie mogłem im tego odmówić, posiadali już naszą tajemnicę.

— Cicho Ascocie, porucznik Tompson idzie ku nam.

— Tak... pewno jaki raport przetrawia w sobie.

I istotnie porucznik Niagary zbliżył się do nich i zapytał:

— Czyś nie zauważył jakiego nadwerężenia w przodzie okrętu, Ascocie?

— Żadnego panie poruczniku.

— A ty Carterze?

— Ani ja panie poruczniku.

Czy galerya nie uszkodzona?

— Ani odrobinę.

— A ster?

— Nie tknięty.

— Czyście nie uratowali nic z tego okrętu, któryśmy tak nieszczęśliwie zatopili?

— Oprócz tych rupieci, które spadły na nasz pokład, wszystko zatonęło na piękne.

— Bardzo dobrze, pilnujcie dalej, ja muszę napisać mój raport.

— Mówiłeś więc Ascocie, że wymagają potrójnej porcyi rumu na dzień?

— Tak jest.

— Dyablo skromni w żądaniach.

— Oprócz tego chcą, aby wszystek tytoń, który się znajdzie na okręcie, został na równe porcye pomiędzy nich rozdzielony.

— Cały tytoń, ale ci głupcy zapominają chyba, że jeżeli się nam uda, to będziemy posiadać towar daleko cenniejszy niż wszystek tytoń i pieniądze, które są na okręcie. Kiedy ich przypuszczamy do równego podziału z nami, oni robią trudności, wzdragają się, udają niezadowolonych. O! zasłużyliby na to, aby...

Carter tupnął nogą o podłogę i po jednem tem tupnięciu poznałem, jakiego to rodzaju musiał być człowiek. Wszystko, co tylko znajdowało się około niego, zatrzęsło się, jak serwis porcelanowy na stoliku od kawy.

— Nie gniewaj się Carterze, to już rzecz skończona. Skoro sprawa uda się, przystaną na to, żeby cię ogłosić komendantem Niagary, którą zaprowadzisz, gdzie będziesz chciał tylko, aby nie do Indyi i nie do Anglii, gdzieby nas wszystkich niewątpliwie powieszono.

— To już moja rzecz, popłyniemy do Madagaskaru, królowa tej wyspy jest w wojnie z Anglią, bardzo więc ucieszy się, jeżeli jej nasze usługi będziemy ofiarować, bo może z nas mieć majstrów, cieślów, sterników itd. Takich rzeczy się nie odmawia.

— Powiedziałem im, — rzekł Ascott — że weźmiemy się do dzieła jutro o samej północy. Na dwie godziny przed północą rozdamy broń pomiędzy przywódców, a oni zaś majtkom ją rozdadzą. A teraz Carterze, powiedz, coś zrobił dla sprawy ogólnej.

— Kubek w kubek to, co ty Ascocie; tylko 36 majtków zamiast 12 wtajemniczyłem w mój zamiar, a dobrze się rozrachowawszy, jest to połowa ludzi, którzy do wykonania naszego zamiaru konieczni są potrzebni. Obiecałem wprawdzie tylko powójną racyę rumu, ale kiedy ty potrójną przyrzekłeś, to i ja muszę się zastósować do tego. Nic nie chcę ukrywać przed tobą Ascocie; wszystko szło jak po maśle; żadnej trudności, żadnej odmowy, jedna tylko przeszkoda i to straszliwa przeszkoda nadarzyła się z twojej przyczyny i wszystko to mało co nie rozerwało się dla tej jednej przeszkody.

— I cóż to takiego?

— Kiedy już przestałem mówić, objaśniwszy naszych kolegów, czego od nich żądamy i co im dajemy w zamian, mulat Samuel wystąpił naprzód i rzekł do mnie: Ale ja pod tym tylko warunkiem połączę się z wami, jeżeli nikt sobie nie będzie rościł prawa do Prozerpiny.

— Jakto? Prozerpiny jemu się chce? — krzyknął Ascott — Prozerpiny!...

I Ascott tupnął nogą jeszcze silniej niż Carter; o mało co mnie w ramię nie uderzył, tak blisko mnie stał, a byłby mi je na miazgę zgruchotał... — A... Samuelowi chce się Prozerpiny — i dodał przez zęby tak, ażeby nikt z majtków, którzy zaczynali się kręcić tu i ówdzie, nie usłyszał, bo już coraz więcej na dzień rozwidniało — ani on, ani stu, ani tysiąc, ani sto tysięcy takich jak on nie dotkną się nawet włosów Prozerpiny. Ja dla niej tylko przystałem do spisku i chcą mi ją wydzierać! Ale przez wszystkie ognie piekielne, kto się ośmieli nawet myślą zażądać tej, którą ja sercem wybrałem, to mu otworzę piersi i żywcem z nich wydrę serce i zjem je jak pomarańczę. Podły i obrzydliwy mulat, chciałby swoją małpią łapę na tych białych położyć ramionach. Niech spróbuje, zobaczymy. Ja mu cały policzek odgryzę, ja go zjem żywcem. Ten murzyn Samuel, o ten murzyn Samuel, chciałbym go zgruchotać w kawałki. I nie plunąłeś mu w oczy, kiedy ci zrobił tę propozycyę? nie strzaskałeś mu pięścią czaszki na głowie? Nie śmiej się Carterze, ale odpowiedz.

— Przystałem na jego żądanie.

— Przystałeś! jakto... obiecałeś mu Prozerpinę?

— Tak jest.

— Co?

— Tak, mówię ci. Samuel trzymając z nami, dodaje nam dwudziestu stronników.

— Zresztą dobrześ zrobił — rzekł Ascott, wracając do przytomności — dobrześ zrobił. Skoro tylko uda nam się, poślemy Samuela na pastwę rekinom.

— A ja ci pomogę chętnie.

— Bo też rachowałem na ciebie.

— Wszystkośmy już ułożyli pomiędzy sobą, nieprawdaż, teraz możemy się rozłączyć.

— Nie jeszcze Carterze.

— Czy masz jeszcze mi co powiedzieć?

— Tak.

— Cóż takiego?

— Słuchaj.

— Uśmiechasz się coś.

— Ja kocham Prozerpinę — odrzekł Ascott — a ty Karolinę Prior.

— Tak i cóż?

— A, to tylko, że Irlandczyk Preston pod tym jedynie warunkiem przystać chce do spisku, jeżeli posiadanie Karoliny Prior będzie mu zapewnionem.

— Karoliny Prior?!

I pomost ugiął się jak grzbiet ranionego wieloryba, a ja odgadłem, że przyczyną tego musiał być wściekły podskok Cartera. Powtórzył jeszcze raz drżącym ze zgrozy głosem: Karolinę Prior! wolałbym pozwolić sobie wyrwać wszystkie zęby rozpalonemi obcęgami, niźli dać się komukolwiek bądź dotknąć brzegu sukni Karoliny Prior. Ja go zagniotę tak, jakeśmy dziś w nocy zgnietli ten okręt, któryśmy spotkali, a którego nazwiska nawet nie wiemy.

— Cicho Carterze, cicho, — rzekł Ascott — ten młody człowiek ma wiele wpływu na załogę okrętową. Zuchwały, to prawda, ale odważny zato. Teraz potrzebny nam jeszcze, ale skoro tylko nie będziemy się już niczego obawiać...

— Tak Carterze, ale tymczasem hamuj twój zapał. Umieraj a milcz.

— Już milczę.

— I ja ci także pomogę Carterze, rachuj na mnie, za moją pomocą pozbędziesz się Irlandczyka Prestona, tak jak ja za twoją pozbędę się mulata.

I ścisnęli się za ręce.

— Tym razem wszystkośmy już sobie powiedzieli, nieprawdaż Ascocie?

— Wszystko, — odpowiedział Ascott — więc tej nocy rzecz cała się skończy — i dodał: kapitan Forster, sir Grant, porucznik Tompson i inni oficerowie będą trzymani na wodzy z pistoletem przyłożonym do piersi.

— Skoro będziemy panami Niagary, zejdziemy przez wielki otwór pomostowy.

— I wrócimy na pokład z naszemi stu trzydziestoma... ale jakoś zdawało mi się, że słyszę coś... nie... to nic... wrócimy na pokład, a każdy z nas będzie niósł... a wrócimy tędy.

I w zapale porwawszy za jeden koniec wielkie płótno ceratowe, które przykrywało drzwiczki prowadzące na pokład, pociągnął je na stronę... i ukazałem się przed oczyma obu spiskowych.

— Człowiek jakiś! — zawołał Ascott

— Niech umiera — rzekł Carter.

I Ascott rzucił się na mnie dławiąc mnie za gardło; chwila jeszcze, a byłbym już uduszony, miałem tylko czas wykrzyknąć rodzinnym moim językiem: „Jestem Francuzem!"

— Wstrzymaj się! — zawołał Carter — może nas słyszał, ale mógł nie zrozumieć.

— Czy umiesz po Angielsku? — zapytał mnie Ascott, którego oddech palił mi twarz, którego krwią nabiegłe oczy wlepione były w moje, a żelazne dłonie oddaliły się trochę od mojej szyi, żeby dać mi wolność odpowiedzi.

— Nie odpowiedziałem wcale.

— Widzisz Carterze, on nie umie po angielsku, to musi być jakimś cudem ocalony z tego francuskiego okrętu.

— Cóż tam robicie tak długo! — krzyknął porucznik Thompson do dwóch majtków, czy nie widzicie, że zabieramy się do modlitwy!

— Panie poruczniku, — odpowiedział z największą spokojnością Carter — ratujemy tu jakiegoś na wpół umarłego francuskiego majstra, który dzisiejszej nocy spadł jak mewa na pokład Niagary.

— Francuz... który spadł na nasz pokład, — rzekł porucznik Thompson — przyprowadźcie go tu, to wybornie mój raport dopełni.

— Zaraz go przyniesiemy, panie poruczniku, bo ruszać się nie może.

I obadwaj wziąwszy mnie, jeden za głowę, drugi za nogi, zanieśli na galeryę okrętową, gdzie stał porucznik Thompson.

II.

— A to dzielna historya majstrze Gandolf.

— Czekajcie moje dzieci, cierpliwości, później zobaczycie dopiero.

Junga potarł z radością ręce jedną o drugą, i przyczepił się jak małpa do drąga żaglowego, żeby sobie urządzić, jak sam mówił, lożę na pierwszem piętrze. Inni zaś majtkowie z niecierpliwością oczekiwali. A on ciągnął dalej w tych słowach:

— Od dwudziestu lat, jak na kilkudziesięciu okrętach rozmaite przepływam morza, widziałem już wiele dziwnych wypadków, ale takiego... lecz nie chcę was uprzedzać, słuchajcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Skończył się styczeń, z nim zaś pierwsza połowa karnawału, ożywionego jak nigdy dotąd, nawet przed wojną. Mawiał śp. Zagłoba, że na wiosnę nawet wiór ku wiórowi afekt miłosny odczuwa, a to samo powtórzyć można obecnie o roztańczeniu się całego świata. Co żyje, bez względu na to, czy posiada głowę, czy nie, ma ją zawróconą tańcem. Tańczą śmieci na ulicy pod wpływem wiatru, ludzie z mrozu podskakują mazurowym krokiem, inni suwają pedałami jak przy walcu, różne czułe pary tulą się do siebie, niczem w nowomodnym tańcu, gazety przepełnione zapowiedziami balów, redut, pikników i sprawozdaniami z nich, jednem słowem karnawał w całej pełni, chylący się już wprawdzie ku końcowi, ale właśnie dlatego, jak dogasająca lampa, coraz jaśniejszym buchający płomieniem.

I nic też dziwnego, że i kronikarzowi udzieliło się to karnawałowe podniecenie, a to, gdy przeczytał szumną zapowiedź o maskaradzie papierowej, gdy dotąd czytywał tylko o takiejże katastrofie. Widocznie stosunki pod tym względem poprawiły się i papieru jest dosyć, a wiadomość tę przyjmą z radością wszyscy psujący papier, zwłaszcza zaś grafomani, którym brak jego dał się poważnie odczuć utrudniając ich twórczość. Skonstatowały ten fakt redakcye pism, dyrakcye teatrów i tym podobne instytucye, którym w ostatnim czasie dostarczono o połowę mniej „prób talentu“, co zmusiło je do podwyższenia rubryki wydatków na opał węglem i drzewem.

Kronikarz, wróciwszy onegdaj na łono kochającej rodziny, częścią z radości, że papieru widocznie nie brak, będzie zatem czem palić w piecu, częścią, aby się ogrzać, gdyż węgle „już wyszły“, a nowych niema za co kupić, uchwycił lekkomyślnie kręcącą się po pokoju Weronikę pod bok i obrócił ją kilka razy dookoła stołu, pogwizdując jakiegoś walca z przed lat trzydziestu. Fakt sam, na oko drobny, miał przecież, jak się potem pokazało, straszne i nieobliczalne wprost następstwa.

W pierwszej chwili, nie wiedząc, co się święci, zapytała oburzona Weronika, czy przypadkiem nie zwaryował, następnie jednak, gdy po przetańczeniu owej tury, całym ciężarem swych stu kilogramów opadła bezwładnie na otomanę, wyszeptała z widocznem zadowoleniem:

— Ani przypuszczałem, że przy mej słabej konstytucyi mam w sobie jeszcze tyle siły!... Wiesz co?... Warto byłoby wobec tego wybrać się na Redutę Prasy!...

Pod kronikarzem zatrzęsły się nogi, zrobiło mu się naprawdę zimno i miał w sobie tylko tyle siły, by wyszeptać z prawdziwą boleścią:

— Masz babo redutę!...

Weronice plan jej, jak wogóle każdy, przez nią wynaleziony, ogromnie się widocznie spodobał, rozpoczęła bowiem zupełnie na seryo omawiać tę karnawałową wycieczkę, oczywiście w gronie całej rodziny.

Role się zmieniły, teraz kronikarz zwrócił się do swej lepszej połowy z zapytaniem:

— Kobieto, czyś zwaryowała?... A skądże ja ci wezmę pieniędzy na taki wybryk, bo inaczej tego nazwać nie mogę?... Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile wybranie się na redutę pięciu osób musiałoby kosztować?

— Głupstwo!... Wydatki będą minimalne, przerobimy sobie przedwojenne nasze suknie, trochę się je skróci, troszkę od góry wytnie i wszystko będzie w porządku!

— W każdym razie i na to potrzeba pieniędzy...

— Oczywiście, ale niewiele!... Sądzę, że trzydzieści tysięcy wystarczy!

— Bagatela!... Dodaj do tego drugie trzydzieści tysięcy na pokrycie kosztów wstępu, dwadzieścia tysięcy na nieprzewidziane wydatki, bez których się nie obejdzie, a będziesz mieć okrągło ośmdziesiąt tysięcy, gdy natomiast ja rozporządzam w obecnej chwili pięciuset markami, które chciałem obrócić na kupienie sobie tytoniu do fajki i danie brzytwy do wyostrzenia...

— Potwór!!!... Zawsze tylko myśli o sobie, rodzina, jej potrzeby i przyjemności dla niego nie istnieją!... Boże!... I za jakież przewinienia ukarałeś mnie takim mężem?...

— Mam inny projekt, daleko praktyczniejszy... Wybierzcie się na „Maskaradę Papierową“, o kostyumy gotów jestem sam się nawet dla was postarać, wstęp jednak i tą resztę, opłaćcie sobie same, gdyż ja na to nie mam...

— A skądże weźmiesz na kostyumy?

— To się zrobi zupełnie bez kosztów!... Dla ciebie zlepię pelerynę ze starych numerów *Głosu Narodu* albo *Czasu*, dla córek z *Kuryerka*, *Gońca* i *Reformy*... Jestem pewny, że zrobicie furorę...

Zrozumiała, że to żarty i obruszyła się, iż śmię żartować z tak poważnych spraw, nie odezwała się też przez dwa dni z rzędu, wobec czego sprawa redutowej wycieczki spadła z porządku dziennego, pozostawiając jednak po sobie naukę, że dyabła nie należy budzić, gdy śpi spokojnie. Gdyby nie ów lekkomyślny walc dookoła stołu, nie byłoby całej awantury, nie byłoby jednak i początku kroniki, czyli, że niema na świecie złego, aby na dobre nie wyszło.

Właściwa kronika miała się zacząć od wzmianki o przybyciu do Krakowa pana ministra spraw wewnętrznych, na którego uczczenie zamówił Magistrat dwudziestokilkustopniowy mróz, aby się przekonał, jak nam tu w Krakowie dobrze i jak się przedstawiają nasze sprawy wewnętrzne, gdy z powodu braku węgli i innych materyałów opałowych siedzieć się musi w domu w płaszczu i papuciach, z czapką nasuniętą na uszy, lub co rychlej zmykać pod pierzynę, o ile ją kto jeszcze posiada. To tylko bieda, że pana ministra przyjmowano w pokojach dobrze ogrzanych, o tem zaś, co dolega ogółowi, opowiadano tylko, a wiadomo, że temu, co się słyszy, wierzy się tylko połowę, a i tę najczęściej wypuszcza się potem jednem i drugiem uchem, zwłaszcza wobec przeciągów, jakie u nas stale panują. Mamy niby to granice prawie wszystkie już ustalone, zostały przecież jeszcze cztery dziury, dwie na wschodzie (Wileńszczyzna i Wschodnia Małopolska), po jednej na południu (Jaworzyna) i na zachodzie (Górny Śląsk), a nie pozwolą nam ich załatać, grożąc, że o to pogniewałby się Lloyd George, który, jako pochodzący z rodu szewskiego, szycie butów i wszelakie łatania zastrzegł tylko dla siebie. Wobec tego jesteśmy bezradni i skazani tylko na to, co stamtąd kapnie, z powodu mrozów zaś ustało też i wszelakie kapanie.

Zima zrobiła nam prawdziwą niespodziankę, jakiej zupełnie nie oczekiwaliśmy i, trzeba przyznać, nie jesteśmy jej bynajmniej tak bardzo wdzięczni, jak się może spodziewała. Sławne były dawne polskie zimy z siarczystymi mrozami, ale to było dobre wtedy, kiedy było czem w piecu palić i w co się porządnie ubrać, a nie w dzisiejsze „okryjbiedy“, podszywano wiatrem. Mógłby kto wprawdzie powiedzieć, że potrzebny nam jest na lato lód do celów przemysłowych ale i to nie prawda, gdyż możemy się bardzo łatwo obejść bez naturalnego, zwłaszcza, że pan fizyk ze względu na różne bakcyle chorobotwórcze rąbać go nie pozwoli, a mamy sztuczny, wyrabiany w rzeźni miejskiej. I ślizgawka, mająca dawniej taki urok dla wielu, dziś go prawie zupełnie straciła, na co wpłynęło także i to, iż sezon ślizgawkowy przypada równocześnie z karnawałem, a ci sami, którzy są zwolennikami sportu łyżwowego są też i danserami i wolą kręcić się choćby nawet i w nieogrzanej sali, niż na wolnem powietrzu przy dwudziestu kilku stopniach mrozu i nieznośnem wietrzysku, zawiewającem niegrzecznie we wszystkie szczeliny ubraniowe, a tych dziś nie brak, u jednych ze względu na modę, u drugich na biedę. I magistrat nie jest ze zimy zbyt zadowolony, gdyż jest ona zazwyczaj połączoną ze śniegiem, który trzeba zgarnąć i wywieźć, bo wiatr nie wywieje go tak łatwo za rogatki, jak naprzykład zwykłe śmieci.

Gdyby to jeszcze było czem palić w piecach, to ostatecznie zniosłoby się jakoś choćby i najcięższą zimę, w takich jednak warunkach jak obecne, trudno o tem pomyśleć. Dla wielu piec zajmuje zupełnie niepotrzebnie miejsce w mieszkaniu, na taki bowiem zbytek, jak regularne opalanie, może sobie chyba milioner pozwolić (W hotelach za jednorazowe „zaświecenie“ w piecu żądają według cennika tylko pięćset marek).

Wszystko to razem zestawiwszy, dochodzi się do przekonania, że zima jest obecnie zupełnie niepotrzebną i że Sejm, kasując różne święta, powinien był i ją także skasować, a z pewnością nikt nie płakałby o to. Cała nadzieja w tem, że zima, która dokucza nam prawie przez cały styczeń, prędko się też i skończy, gdy się wyczerpie kontyngent zimna przeznaczony dla świata i dlatego to wielu bardzo zwraca się z prośbą do owego przysłowiowego niedźwiedzia, burzącego lub poprawiającego swą budę w dzień Matki Boskiej Gromnicznej, aby ją w tym roku stanowczo zburzył, a zyska sobie ogólną wdzięczność i uznanie, ewentualnie może nas prosić o pomoc przy tej robocie, a z pewnością mu jej nie odmówimy, materyał zaś z niej rozbierzemy między siebie na opał.

Jedną tylko dobrą stronę mają mrozy i zimne wiatry, mianowicie, iż dzięki im każdy się spieszy, a nawet poważni radcowie miejscy, kroczący dawniej z majestatem rzymskich senatorów, nabierają dziwnej energii i pomykają żwawo naprzód. Posiedzenia Rady miejskiej cieszą się liczniejszą, niż zazwyczaj frekwencyą, sala posiedzeń jest bowiem dobrze ogrzaną, co niektórych z panów rajców usposabia do przyjemnej drzemki. Ale dogódź tu komuś!... Zamiast się cieszyć z tego, narzekają, że potem w nocy spać nie mogą i dla zabicia czasu muszą się zabawiać liczeniem pluskiew na ścianach swych apartamentów.

Pośpiech widoczny jest także i w innych dziedzinach, naprzykład w informowaniu czytającej publiczności przez prasę codzienną o nadzwyczajnych wypadkach. Dzięki temu przed tygodniem uśmierciliśmy papieża Benedykta XV. Już w sobotę popołudniu, gdy on przeniósł się do wieczności dopiero w niedzielę rano, dowiedziawszy się z nadzwyczajnego wydania krakowskiego *Kuryerka*, że już nie żyje. Redakcya tryumfowała, chwaląc się: „My byliśmy pierwsi, którzy donieśliśmy o zgonie Ojca Świętego, z naszego nadzwyczajnego dodatku dowiedział się śp. Zmarły o swym własnym zgonie.“

Gdyby to mrozy chciały wpłynąć przyspieszające także i na poprawę naszych obecnych stosunków, szczególniej aprowizacyjnych, byłoby to bardzo wskazanem, niestety, na coś podobnego się nie zanosi. Obiecywaliśmy sobie wiele, dowiedziawszy się o zwinięciu ministerstwa aprowizacyi, spodziewając się, że wraz z niem weźmie w łeb i bieda, która nas gniecie, nie nastąpiło to jednak dotąd i nie ziści się prawdopodobnie prędzej, dopóki nie ukończy się jego likwidacya, a to, może jeszcze długo potrwać. Jest ona nieczuła nawet na mrozy i najsilniejsze wiatry.

Nie możemy się także doczekać, aby wzrost wartości naszej marki za granicą przyczynił się do obniżenia cen choćby tylko najniezbędniejszych artykułów wewnątrz kraju. Niestety, zamarzły one i nie chcą się ruszyć z miejsca, a pudełko zapałek, które kilka miesięcy temu podskoczyło na piętnaście marek, kosztuje i dziś tyle, stosunek przedwojenny do dzisiejszego jest zatem taki, że dawniejsze dwadzieścia koron znaczyło tyle, co dziś *trzydzieści tysięcy marek!*

To utrzymywanie się cen na tym samym poziomie dotyczy w pierwszym rzędzie artykułów codziennej potrzeby, zatem środków żywności, odzieży, opału i światła. Potaniały natomiast... owoce południowe, cytryna z ośmdziesięciu marek spadła na trzydzieści dwie, ale chyba trudno żywić się samemi cytrynami. Potanienie cytryn nie wpłynęło bynajmniej w naszych kawiarniach na cenę „herbaty z cytryną“, która i nadal kosztuje o dziesięć marek więcej, niż tak zwana „czysta“.

Ważniejsze jednak, że inne, potrzebniejsze od cytryn artykuły, jak naprzykład ziemniaki, masło, mleko, ser, jaja i t. d. potanieć w żaden sposób nie chcą i coraz trudniej spotkać się z nimi na targu. Powodem tego masowy wywóz ich za granicę, na czem niesumienni spekulanci robią kolosalne fortuny.

Teraz dopiero zaczynamy rozumieć to, co dawniej wydawało się nam dziwnem i trudnem do pojęcia, naprzykład, że po wojnach napoleońskich żądano za austryackiego guldena srebrnego tysiąc i więcej papierowych. Widzimy, że po każdej większej wojnie rosła drożyzna, a ceny nie wracały już nigdy do pierwotnego stanu. Starsi z nas przeżyli już jedną taką zwyżkę po wojnie prusko-austryackiej i francusko-pruskiej, młodsze pokolenie ma sposobność obecnie przekonać się o tem na własnej swej skórze i kieszeni. Bajką z „tysiąca i jednej nocy“ było dla nas wspomnienie, spotykane w starych opisach, iż za czasów Maryi Teresy pobierał austryacki starosta trzysta guldenów rocznej płacy, „aby mógł żyć odpowiednio do swej wysokiej godności i mieć na utrzymanie do wyjazdu koni“.

Minęły bezpowrotnie te czasy i nigdy już nie wrócą, jak również te, które my sami pamiętamy, iż w niedzielę, mając koronę w kieszeni, można było pójść na flaczki z wódeczką, dwiema bombkami piwa i nienajgorszem cygarkiem, a jeszcze zostało na powrót tramwajem do domu, aby się przypadkiem nie spóźnić na obiad, na który kochająca żona przygotowała doskonałą wieprzową pieczeń „ze skórką“ i leguminkę, bardzo kosztowną, gdyż do jej sporządzenia trzeba było aż... sześciu jaj, po dwa centy sztuka.

Dziś wszystko to należy do wspomnień i stanowi temat rozmyślań, że nasi potomkowie nie będą chcieli wierzyć, w jakich żyliśmy dostatkach i będą nam kiedyś tak zazdrościć, jak my naszym ojcom. Gdyby ci biedacy powstali dzisiaj z grobu, z pewnością powróciliby bardzo prędko na miejsce swego wiecznego spoczynku, nie czekając nawet, aż magistrat doprowadzi szerokotorową linię tramwajową do samego cmentarza.

szłoby im to z trudnością, którą amerykańska ręka lekko usunęła.

Ale też Ameryka była w tem szczęśliwem położeniu, że w czasie ostatniej zawieruchy światowej stosunkowo najmniej straciła, owszem wybiła się nawet na pierwsze miejsce między mocarstwami. Finansowo jest ona zaangażowaną poważnie w Europie, spiesząc jej zaś z pomocą i dozwalając dojść do normalnych stosunków, dopomaga też własnym swym interesom.

Bawiła w tych dniach w Częstochowie dr. medycyny p. Berger, Amerykanka, która jest pułkownikiem armii francuskiej. Pani pułkownik dr. Berger całą wojnę przebyła na francuskim froncie, gdzie za wyjątkowe usługi i poświęcenie została nagrodzona wieloma orderami francuskimi, angielskimi, oraz posiada order oficerski francuskiej Legii Honorowej. Pani Berger obecnie stale mieszka w Warszawie i jest zastępczynią prezesa Polskiego Białego Krzyża, prezesem zaś, jak wiadomo, jest pani H. Paderewska. Gość Częstochowy, w towarzystwie amerykańskiego inspektora Misyi Ratunkowej dla Polski, p. Taylor'a oraz ispektora rejonowego Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom, zwiedziła szpital dla dzieci, urządzony staraniem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, oraz inne instytucye filantropijne, zorganizowane przez Amerykańską Misyę Ratunkową dla Polski P. A. K. P. D. w Częstochowie. Na czele Polsko-Amerykańskiego Komitetu Niesienia Pomocy Dzieciom w Częstochowie stoi inspektor Władysław Spiczyński, którego działalność i nadzwyczaj umiejętne prowadzenie tejże instytucyi należy z uznaniem podkreślić. Godnym zastępcą inspektora jest p. Jan Kozłowski w Okręgu Częstochowskim. — O działalności P. A. K. N. P. D. umieścimy w jednym z następnych numerów naszego pisma obszerniejszy opis wraz z illustracyami.



Oświadczenie gabinetu Poincare'go: Były prezydent Republiki, obecny premier R. Poincaré po pierwszem posiedzeniu gabinetu w rozmowie z oczekującymi nań dziennikarzami.

Oświadczenie gabinetu Poincare'go

Nowy gabinet francuski przez usta swego prezydenta w Izbie deputowanych, a wiceprezydenta Barthou w Senacie złożył swoje oświadczenie, stanowiące program jego działalności na przyszłość.

Exposé to oświadcza na wstępie, że gabinet, powołany przez prezydenta republiki do objęcia władzy rządowej wśród poważnych okoliczności, nie żywi innych ambicyi, jak utrzymywanie ściśle współpracy z parlamentem i przywrócenie poszanowania dla traktatów, które zawierają warunki pokoju. Aby ułatwić zrozumienie tego programu — zaznaczył Poincaré — użyję słów, które wypowiedzieli posłowie Izby i Senatu przy otwarciu sesyi. Najenergiczniejsze nawet usiłowania nasze tylko wtedy uratują finanse Francyi, jeżeli Niemcy, na których rachunek złożyliśmy już tyle miliardów, wypełnią wszystkie zobowiązania, które już na siebie przyjęły i naprawią wyrządzone szkody. Byłoby to krzyczącą niesprawiedliwością, gdyby kraj, który tyle wycierpiał i którego 10 departamentów zostało zniszczonych, musiał własnym kosztem je odbudowywać i gdyby tym obywatelom, płacącym podatki, musiał narzucać płacenie pensyi i odszkodowań pozostałym po ofiarach wojny wdowom i sierotom, poszkodowanym przez wojnę, wreszcie rodzinom tych, którzy zostali przez Niemców rozstrzelani. Bezwstydna propaganda, której duchowi sprawcy dadzą się łatwo odkryć, zwraca się dziś przeciwko Francyi i usiłuje przedstawić fałszywie jej stanowisko i zamiary, stara się przedstawić Francyę, jakoby była ona owładnięta pewnego rodzaju imperyalistycznym szałem. Obwinia się nas, że w cichości żywimy podstępne zamiary, jak gdyby wojna niedość jeszcze ofiar zabrała, jakby niedość ofiar kosztowała, jakby Francya nie drożej niż inne narody okupiła pokój dla siebie i dla innych, który obecnie pragnie zabezpieczyć.

Żądamy — oświadczył prezydent ministów — dotrzymania traktatów, które zostały zawarte i na których podpis Niemiec widnieje obok podpisów państw sprzymierzonych. Żądamy wypłaty odszkodowań, które nam się należą. W jakiż sposób ma Francya ustąpić w tej sprawie? Niemcy twierdzą, że płacić nie mogą, a tymczasem trwonią systematycznie swe podatki, choć otrzymują je regularnie. Czynią wszystko, aby ich budżet państwowy sprawiał wrażenie ruiny. Wydają coraz nowe emisye pieniędzy papierowych i obniżają przez to wartość



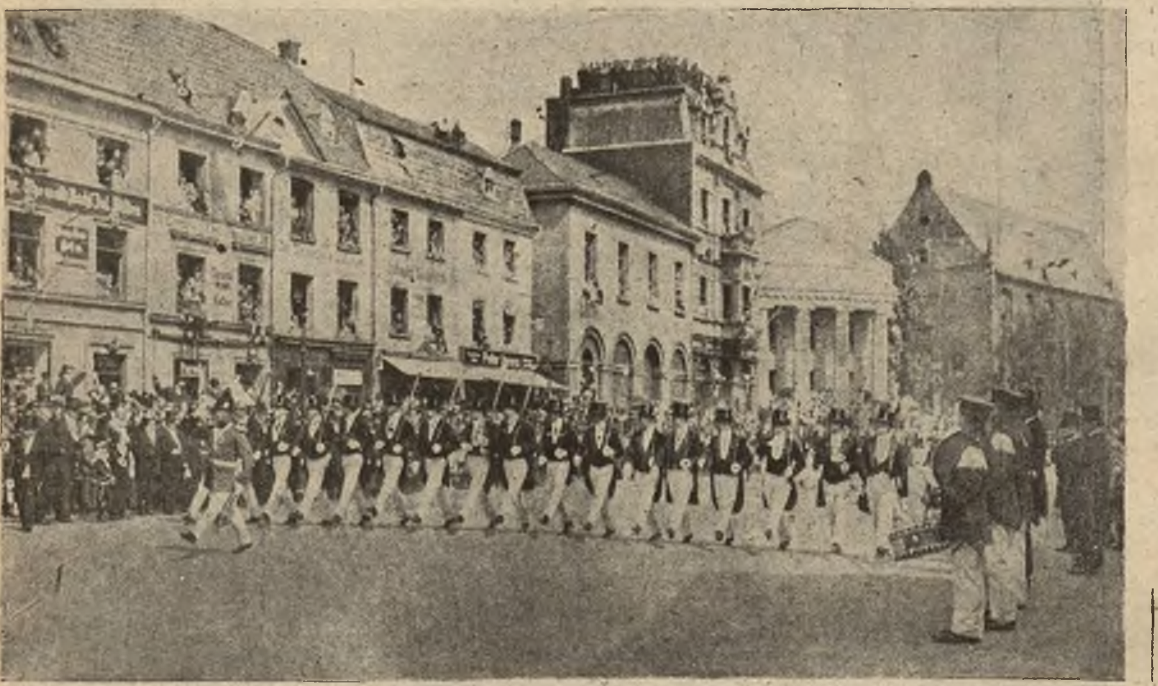
Trzydziestolecie artystycznej pracy: Artysta malarz Zygmunt Balk, dekorator Teatru miejskiego we Lwowie.



Oświadczenie gabinetu Poincare'go: Premier francuski R. Poincaré w otoczeniu członków swego gabinetu.

swego pieniądza, a temsamem popierają swój wywóz. Jest rzeczą jasną, że gdy Niemcy w ten sposób organizują pozorną ruinę swego handlu, towarzystwa wszystkie w Niemczech wypłacają olbrzymie dywidendy. Fabryki wszystkie pracują, a siła gospodarcza Niemiec wzrasta. Finanse państwowe rujnują się, a każdy z Niemców bogaci się ogromnie. Jednakże przecież nietylko państwo niemieckie, ale cały naród niemiecki jest odpowiedzialny za długi niemieckie. Cały naród niemiecki kapitałami swymi gwarantuje długi państwa, bowiem imieniem całego narodu niemieckiego został przyjęty traktat wersalski, plan płatniczy zestawiony przez komisyę odszkodowań i żądania sprecyzowane w ultimatum z maja 1620.

Francya bronić chce tylko tych układów międzynarodowych, a nie daje posłuchu, ani namiętności, ani chęci zemsty, ani podszeptom egoistycznym



Niemieckie marzenia o odwecie: Defilada oficerów rezerwowych niem. w ubraniach cywilnych podczas uroczystości strzeleckiej w Neuss nad Renem

Francya ma szczególne pragnienie u olnić świat od bolesnej zmory, która nad nim ciąży. Jednak jest zdania, że podstawowym warunkiem ogólnej odbudowy świata jest odbudowa spustoszonych obszarów tych dwóch krajów, które najpierwsze zostały napadnięte, a które w czasie ciężkich doświadczeń pozostawały nierozłączne, to jest Belgii i Francyi. Nietylko elementarna sprawiedliwość, ale powszechny interes świata wymaga tej odbudowy. Gdyby Francya i Belgia skazane zostały na rachowanie na własne siły, oznaczałoby to nieochronne niepowodzenie wszelkiej pracy w tej sprawie.

Problemat odszkodowań dotyczy wszystkich krajów. Jeżeli Niemcy w tej najważniejszej sprawie nie spełnią naszych żądań będziemy musieli szukać zarządzeń, do których należy się uciec według zapatrywań komisyi odszkodowawczej, a pewne z tych zarządzeń zaostrzyć. Możliwe jest więc, że okaże się koniecznością zarządzenie ścisłej kontroli budżetu niemieckiego, oraz kontroli nad wydawaniem banknotów.

Również bardzo ważna dla Francyi ta sprawa nie powinna pozwolić na zapomnienie o postanowieniach traktatu wersalskiego, o znaczeniu i ukaraniu wszystkich przestępców wojennych. Dopóki te postanowienia nie zostaną wypełnione, będziemy mieli pełne prawo utrzymać sankcye, już przedtem wprowadzone i zaprowadzić nowe. Nadto oświadczam, że termin okupacyi lewego brzegu Renu nie może być skrócony, a może się okazać konieczność przedłużenia go.

Są to zapewnienia, których rząd francuski będzie zawsze bronił. Skutkiem gwarancyi jest istnienie umów międzynarodowych, łączących wszystkie państwa we wspólnym interesie.

W dalszym ciągu przemówienia Poincaré zwrócił uwagę na utworzoną przez sprzymierzone narody małą ententę, której utworzenie naród francuski przyjął z radością do wiadomości, a postępy jej i rozwój śledzi z żywą sympatyą. Rząd francuski będzie uważał za zaszczyt dla siebie współpracowanie z rządami małej ententy. Wyniki działalności dotychczasowej tej nowej ententy dają miarę tego, czego świat może od nich oczekiwać.

Poważne obawy nasuwała kwestya konferencyi w Genui. Nowy gabinet postanowił akceptować przyjęcie zaproszenia na tę konferencyę. Będziemy jednak żądali z naciskiem, aby warunki wysunięte na konferencyi w Cannes zostały przed rozpoczęciem wszelkiej dyskusyi przyjęte albo odrzucone i aby z postanowień traktatu wersalskiego nic nie było poddawane dyskusyi.

Dalej oświadczył prezydent ministrów, że rząd francuski będzie szczęśliwy, jeżeli podpisana zostanie umowa o wzajemnem zagwarantowaniu sobie bezpieczeństwa przez Anglię i Francyę. Nie wątpi też że mocarstwa te mogą porozumieć się ze sobą na zasadzie równości, ku pożytkowi obu krajów. Umowa ta zatrzymywać będzie obecne i przewidywane na przyszłość gwarancye tak jak je uznawał traktat pokojowy. Porozumienie z Włochami i Anglią jest konieczne, ażeby usunąć przeszkody do podjęcia normalnych stosunków między narodami.

Głównem pragnieniem Francyi jest, aby w porozumieniu z Anglią rozwiązać wszelkie trudności i wraz z nią pracować wspólnie nad przywróceniem spokoju w Europie i aby dzięki temu porozumieniu mógł pomyślnie wykonać mandat swój w Syryi. Francya nie omieszka utrzymać przyjaznych stosunków z wszystkimi innymi narodami, które u jej boku walczyły dzielnie o prawa ludzkości. Szczególnie pragnęłaby Francya tej współpracy ze strony Stanów Zjednoczonych, które tak wybitnie przyczyniły się do wspólnego zwycięstwa, a które teraz na konferencyi w Waszyngtonie dały nowe dowody swego szlachetnego charakteru. Wobec wszystkich sprzymierzonych będzie Francya stosowała postępowanie umiarkowania, otwartości i przyjaźni, ale z drugiej strony wierzy, że nie wezmą jej oni tego za złe, gdy uprzejmie, lecz stanowczo będzie występowała w obronie interesów swoich, tak, jak oni bronią swoich interesów. Praca nasza w tym zakresie może być prowadzona z sukcesem tylko pod warunkiem udzielenia jej pełnego poparcia przez Izbę. — Poincaré zakończył apelem do wszystkich, którzy zdolni są podporządkować interesy partyjne interesom całego państwa, aby złączyli się dla strzeżenia podwalin republiki i strzeżenia praw Francyi.

Niemieckie marzenia o odwecie.

Śmiać się doprawdy chce, gdy się słyszy i czyta zarzuty, robione Francyi z powodu jej rzekomo imperyalistycznych dążeń i to szczególnie przez Niemcy, które w danym wypadku odgrywają rolę złodzieja, przyłapanego na gorącym uczynku, a dla zmylenia tropu wołającego najgłośniej: „Łapaj złodzieja!"

Francya musi się mieć na baczności, aby wypadki nie zaskoczyły jej niespodzianie, całe bowiem niemieckie społeczeństwo zorganizowane jest militarnie i tworzy kadry, które w bardzo krótkim czasie mogą dać potężną i należycie wyszkoloną armię, zaopatrzoną w najnowsze wynalazki techniki wojennej. Każda, najdrobniejsza nawet uroczystość ma charakter wybitnie wojskowy, nie obejdzie się bez przeglądów, defilad i t. p., w których biorą udział wprawdzie ubrani po cywilnemu, ale wyłącznie rezerwowi oficerowie i zdemobilizowani żołnierze. Natomiast prawie wszystkie dzieci, dla podniesienia ducha w narodzie, noszą stale mundury wojskowe.

Illustracya nasza przedstawia moment z uroczystości strzeleckiej w Neuss nad Renem, z nieodłącznym *Parademarschem.*

Irlandya pod nowymi rządami.

Układ z dnia 6. grudnia 1921, zawarty między Anglią a Irlandyą, a zwalczany tak namiętnie przez de Valerę i jego stronników, wszedł już w życie, uzyskawszy zatwierdzenie Zgromadzenia Narodowego. W Irlandyi rozpoczęła się nowa era autonomicznych rządów, przygotowują się też wybory do parlamentu, który ma zająć miejsce dotychczasowego rewolucyjnego Zgromadzenia Narodowego. Kierunek pojednawczy, reprezentowany przez Griffitha, zwyciężył, wprawdzie tylko nieznaczną większością, w każdym razie jednak stwierdził, że ludność irlandzka ma już dość wojny domowej i pragnie spokoju. Wojsko angielskie i policya wycofuje się powoli z „Zielonej Wyspy", otwarły się bramy więzień, które opuścili liczni skazańcy poli-



Irlandya pod nowymi rządami: 1) Ostatni raport policyi angielskiej w Dublinie przed opuszczeniem Irlandyi. 2) Więźniowie irlandzcy, uwolnieni na podstawie amnestyi opuszczają masowo mury swych więzień

tyczni, lub czekający tam dopiero na wyrok patryoci irlandzcy. Anglicy nie pokazują się już na ulicach Dublina w opancerzonych samochodach, a wicekról Irlandyi, lord Fitz Alan oddał były zamek wicekrólewski w Dublinie w ręce przedstawicieli rządu irlandzkiego, który tam w najbliższym już czasie znajdzie pomieszczenie.

Trzydziestolecie artystycznej pracy.

W lwowskim świecie artystycznym cieszy się od szeregu lat zasłużonem uznaniem artysta malarz, Zygmunt Balk, dekorator Teatru lwowskiego. Ciężkiej swej i nieraz niewdzięcznej pracy oddany całem sercem prawdziwego artysty, obchodzi obecnie p. Balk swój trzydziestoletni jubileusz, z okazyi którego prasa lwowska poświęca artyście i jego działalności serdeczne i pełne uznania wspomnienia.

Najtrafniej może charakteryzującą twórczość artysty, jego działalność i osobę jest wyborna notatka znanego lwowskiego publicysty, Artura Schrödera, którą pozwolimy sobie poniżej przytoczyć.

Znają go — pisze on — szerokie rzesze z wystaw i z teatru — nazwisko jego często powtarzało się w katalogach „Tow. Przyj. Sztuk Pięknych" i „Zachęty", oraz bardzo często na afiszach teatralnych, gdzie figurował i figuruje obok swego towarzysza pracy Polityńskiego. Jowialny, zawsze uśmiechnięty, lekkomyślny — jak każdy artysta — jest Balk interesującą, lubianą postacią w świecie teatralnym, artystycznym i... kawiarnianym, gdzie z wiecznym cygarem w ustach rej wodzi w dyskusyach artystycznych i... tyczących się gry w domino, w której jest pasyonowany. Pomimo swojej ładnej mleczno-siwej głowy, jest zawsze tak młody, pełen inicyatywy i humoru, że trudno się pogodzić z myślą, iż już 30 lat pracy artystycznej ma za sobą. I to pracy nie byle jakiej! Gdyby rozciągnąć wszystkie płótna teatralne, które wyszły z jego pracowni, możnaby niemi przykryć wielką część Małopolski a poza tem ma jeszcze czas ten miły człowiek na malarstwo sztalugowe, na pracę twórczą w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Jako pejzażysta odznacza się Balk bardzo dobrem odczuciem przyrody, zrozumieniem i ukochaniem jej piękna, ładnie sharmonizowanym kolorytem i starannym zawsze rysunkiem. Tak w widokach architektonicznych miast i miasteczek, jak i w tych słonecznych obrazkach pól naszych, jest Balk szczerym artystą, malarzem świadomym swych środków i sumiennym pracownikiem.

Stroną twórczości, która nas najbardziej w tym dorywczym szkicu obchodzi, jest jego dekoracya teatralna. Balk rozpoczął naukę u J. Düllа, art. malarza i dekoratora za dyr. Wł. Barącza. Dalsze studya odbywał u nadwornego malarza Hofopery wiedeńskiej Burkhard'ta, jednego z najznakomitszych swego czasu dekoratorów w Europie. Następnie wyjeżdżał do Berlina, Lipska, Monachium i Drezna, gdzie zapoznawał się ze zdobyczami sztuki dekoracyjnej. Po powrocie do kraju rozpoczyna pracę w teatrze Skarbkowskim za dyrekcyi M. Schmidta. Pierwszem jego dziełem, które zwróciło na niego uwagą, były dekoracye do przeróbki z Vernego „Podróż naokoło świata w 80 dniach". Krytyka ówczesna zaznacza, że te dekoracye „są czemś nowem i zupełnie dotąd nieznanem we Lwowie". Z innych dekoracyi za dyrekcyi Szmidta, Przybylskiego, Szydłowskiego, Pawlikowskiego i Heltera zasługują na uwagę: „Barbara Radziwiłłówna", „Powrót taty", „Livia Quintilla", „Cyrano de Bergerac", „Sprzedana narzeczona", „Tannhäuser", „Lohengrin", „Otello", „Jaś i Małgosia", „Świerszcz za piecem", „Bal w operze", „Czarodziej z nad Nilu", „Goplana", „Sybir", „Potęga Ciemnoty", „Kordyan", „Balladyna", „Zmierzch bogów", „Walkirye", „Lakme", „Peer Gynt", „Uczta Herodyady", „Bolesław Śmiały", „Lilla Weneda". „Życie" (Andrejewa), „Misterye passyjne", „Orfeusz w piekle", „Quo vadis" i setki innych o których trudno pamiętać. W roku 1913 na międzynarodowej wystawie w Rzymie otrzymał „grand prix", wielki złoty medal za szkice do oper Wagnera.

Ponadto jego dekoracyjne malowidła zdobią lwowską Filharmonię, Izbę handlową, Dworzec główny i td.

Z TEATRU.

Teatr „Bagatela".

Wznowienie Upiorów Ibsena oraz nowość: Cudak, komedya w 3 aktach Hermana Bahra w przekł. dra Józefa Brodzkiego.

Ile razy „Bagatela" zapowie sztukę z repertoaru „bieżącego", jakąś lekką komedyę, jakieś „studyum" współczesnej duszy ludzkiej, idę na przedstawienie *à priori* z ochotą... Wprawdzie przeraża mię zawczasu myśl, w jaki sposób z tego teatrzyku się wydobędę, czy przy garderobie np. nie wybije mi ktoś z gości „niechcący" lewego lub prawego oka, czy otrzymam palto z jednym czy dwoma rękawami, wprawdzie zawczasu obliczam sumę kopnięć w lewą względnie w prawą nogę — no, ale to wszystko jest gościnnym występem naszej publiczności, a nie artystów „Bagateli". O nich, a zwłaszcza o kilku z pomiędzy nich jednostkach wiem, że mi wszystkie boleści i utrapienia nagrodzą doskonałą grą, reżyserya zaś zawodu nie uczyni ani wystawą ani „zmontowaniem" sztuki, jak całości...

Nie lubię jednak, gdy „Bagatela" zabiera się do utworów takich, jak — choćby na ten przykład — „Upiory" Ibsena. Na „Upiorach" bowiem miałem to wrażenie, jak gdyby ktoś do eleganckiego, rozbawionego a całkiem niefrasobliwego, pulsującego tętnem roznamiętnionej krwi gwałtem wtłoczył z „Tea-



Z Teatru – Teatr Bagatela W. Kosiński, art. dram. w służbie wojskowej jako oficer Legionów.

trum anatomicum" prof. Kostaneckiego jakowegoś umrzyka, przeraźliwie trupio-bladego z wyszczerzonymi zębami i niedomkniętemi oczyma.. Tam „na anatomii" medycy wiedzą, co z tym gościem czynić; tu doprawdy wszyscy byli potrosze zażenowani. Gość — gościem, przyjąć go trzeba, ale tak z nim jakoś nie swojo i... głupio! Oby sobie stąd poszedł jak najprędzej!...

Ten typ sztuk, jak między innemi ibsenowskie dramaty ze sceną „Bagateli" od początku jej ist nienia wziął zasadniczy rozbrat... Tam grają życie — samem życiem... zaduchu jodoformu tam nie znają. Ibsen tak zasuggestyonował swoją indywidualnością widzów i słuchaczy, że uwierzono mu święcie, iż upiorami w „Upiorach" to Oswald i Regina... Tymczasem nie! Upiorami w tej sztuce — to bez wyjątku wszyscy ludzie, od pastora i pani Alviny począwszy, na Engstrandzie skończywszy. To są nie ludzie, tylko ludzkie upiory i upiorzyce. Żyją fałszem, obłudą, hipokryzyą, nie mają odwagi po wiedzieć i wyznać prawdy, drżą na myśl złamania konwenansów podłego życia. To trupiarnia ludzkich charakterów, cywilnej odwagi i niekłamanego sumienia... Z pomiędzy tych ludzi — największy łotr i łajdak — stolarz Engstrand jest najbardziej jeszcze do człowieka podobny... I jeżeli tak Ibsen pojmował swoją sztukę, jeżeli to chciał w „Upiorach" zademonstrować (a wątpię w to bardzo!) — to powyższa tragedya jest wielkim czynem; jeśli zaś miał na myśli problem „dziedziczności" tylko, jeśli chciał przedstawić jako upiory powrotną falę ojcowskiego grzechu — to w takim razie tragedya powyższa musi wywołać sporo zastrzeżeń i bynajmniej w całości zadowolić nie może...

Wystawiono „Upiory" dla p. Kosińskiego, artysty, którego Kraków zna, lubi i ceni. Po ośmioletniej, dobrowolnej służbie wojskowej w legionach, wrócił p. Kosiński do swego zawodu, który kocha, a któremu prawdziwy przynosi zaszczyt. Za rolę Oswalda cenię p. Kosińskiego bardzo. W tej kreacyi wolę go osobiście bardziej, niż równie wybitnego p. Adwentowicza. P. Kosiński gra dyskretniej niedolę i chorobę Oswalda, stopniuje zwolna i realizmem nie budzi we mnie odrazy... Z innych artystów zasługuje na szczere uznanie przedewszystkiem p. Zbucki za wyborną kreacyę Engstranda. Rola to po p. Solskim w Krakowie. Inaczej pojęta, ale równie dobra.

Nowością: „Cudakiem" Hermana Bahra bynajmniej się nie entuzyazmuję; owszem uważam go za sztukę dość słabą, czasem nudną, dyskretne poziewanie wywołującą... Przedewszystkiem nie wiem, o co autorowi chodzi? Czy o kontrast Austryi, względnie Wiednia republikańskiego w stosunku do c. k. habsburgskiego, czy o niemoralność „starej", „książęcej" sfery, reprezentowanej przez księżnę Digielheim, która specyalnej emocyi doznaje na widok męskich „rajtuzów", czy o bezczelną naiwność siostry zakochanej w bracie, która namawia młodą uczciwą mężatkę, by... była powolną temu bratu, bo inaczej (gdy mu odmówi) on się tem... zmartwi i zagryzie, czy też... Ale dość, sztuka słaba, niesmaczna! Przynajmniej dla mnie i dla wielu znajomych. Wprawdzie jeden z krytyków, któremu Wiedeń jest słońcem i lazurem, widzi w „Cudaku" „słoneczną pogodę", mimo jednak tego orzeczenia widzę w powyższej sztuce nie wybredne danie dla przeciętnego móżdżku zadowolonego z siebie Wiedeńczyka...

Mam wrażenie, że artyści nie bardzo wiedzieli, jak grać ten zlepek pomysłów i... „idei". Sporo rozmachu posiadał p. Fritsche (hr. Rossian), „cudakiem" Harleem był p. Węgierko, za naiwnie jednak i po dziecięcemu daną postać traktujący... Jego żonę z temperamentem mocno skondensowanym grała p. Malicka... Dobry był ordynans w interpretacyi p. Wesołowskiego.

Mam wrażenie, że szkoda było „Bagateli" dla takiej .. bagateli. *b – i.*

Renegat mordercą własnego ojca.

(Do illustracyi tytułowej).

Tysiące naszych rodaków, którzy w poszukiwaniu za kawałkiem codziennego chleba zmuszeni byli opuścić swą rodzinną ziemię, znalazło się wśród stosunków dla siebie zupełnie obcych i wśród ludzi nieraz bardzo wrogo dla siebie usposobionych. Szczególniej powiedzieć to można o tych, którzy podążyli szukać zarobków u Niemców, gdzie nie tylko narażeni byli na ustawiczne ciężkie prześladowania, ale i na zupełne wynarodowienie. W młodem pokoleniu, wychowanem w tych stosunkach, potrafi prуska szkoła zniepravić i zabić ducha narodowego, dom, choćby nawet szczerze po polsku prowadzony, nie zdołał temu przeszkodzić, zwłaszcza że rodzice, zajęci troską o zapewnienie sobie i swoim bytu materyalnego, przy najlepszych chęciach nie mieli czasu na to, aby się oddać należytemu wychowaniu swych dzieci, a nie było nikogo innego, kto mógłby i chciałby się tem skutecznie zająć. Dzieci szczerze po polsku myślących i czujących rodziców wynaradawiały się też powoli, pruska szkoła zrobiła swoje.

W Dortmundzie w Westfalii zdarzył się straszny wypadek, świadczący jak młode pokolenie wśród wychodźców, pozbawione polskich szkół, ulega wpływom germanizacyjnym. Robotnik i wychodźca Franciszek Lewandowski nalegał na swego 18 letniego syna, ażeby podpisał oświadczenie na rzecz Polski, lecz syn stawiał zacięty opór, przyczem popierał go 17 letni brat Franciszek. Ponieważ ojciec obstawał przy swem żądaniu, młodszy syn Franciszek chwycił podczas powstałej sprzeczki za toporek i uderzył kilka razy ojca tak silnie w głowę, że musiano nieszczęśliwego odstawić do domu chorych, gdzie po krótkim czasie skonał. Ojcobójcę aresztowano. Nieszczęśliwy ojciec pragnąc widocznie powrócić do kraju, zamierzał zabrać z sobą dzieci, nie doczekał się jednak owej chwili, bo ręka własnego dziecka przecięła pasmo tułaczego życia.

Fakt ten, bynajmniej nie odosobniony, świadczy najlepiej o niedoli naszego wychodźtwa i o opłakanych stosunkach, w jakich żyć mu przychodzi. Dowodzi to także, że dotąd zbyt mało zwracano uwagi na szkody, jakie z tego powodu ponosi nasz naród i nie postarano się o to, aby zapewnić polskim emigrantom możność krzewienia i krzepienia ducha narodowego także i na obczyźnie, zwłaszcza w większych środowiskach przemysłowych, które skupiły znaczniejszą liczbę Polaków, gdzie zatem powinno się było zająć utworzeniem polskiej szkoły, któraby wychowywałaby młode pokolenie w duchu narodowym.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożył W. Kos, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda imiona pary małżeńskiej, która w niedawnym czasie dość harmideru narobiła w Europie.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
–   –   –   –   –
–   –   –   –   –
–   –   –   –   –

Znaczenie wyrazów: 1. Półwysep w północnej Europie, 2. Oddział wojska, 3. Inaczej: związek, 4. Angielska miara długości, 5. Imię męskie.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył S. T., Poznań.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko pewnego renegata, który zapomniawszy o swem polskiem pochodzeniu buduje dziś na gwałt Ukrainę.

— owa
— ola
— zaw
— ola
— oga
— ork
— yna
— una
— gła

Logogryf.

Ułożył L. Policzyński, Rembertów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda tytuł jednego z najpoczytniejszych pism polskich.

■
– ■ –
– – ■ – –
– – – ■ – – –
– – – – ■ – – – –
– – – ■ – – –
– – ■ – –
– ■ –
■
– ■ –
– – ■ – –
– – – ■ – – –
– – – – ■ – – – –
– – – ■ – – –
– – ■ – –
– ■ –
■
– ■ –
– – ■ – –

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Jeden z pierwiastków, 3. Miasto, przy którem król Polski Zygmunt III. zjechał się z Janem królem Szwedzkim, 4. Miasto, przy którem Polacy przysięgli na wierność królowej Jadwidze, 5 Miasto i obóz warowny w Rzeczypospolitej Polskiej, oraz rzeka nad którą takowe jest położone, 6. Grupa wysp na morzu Tyrhańskiem, 7. Jezioro w b. gubernii Suwalskiej, 8. Rzeka w Afryce, 9. Spółgłoska. 10. Miasto, przy którem Napoleon I. Bonaparte zwyciężył armię austryacką, 11. Stolica dawnych monarchów abissyńskich, 12. Wyspa, sławna urodzeniem jednego z największych wojowników świata, 13 Nauka o sposobach prowadzenia wojny, 14. Założyciel Aten 15 Stolica Giedymina, 16. Imię żeńskie, 17 Samogłoska, 18. Powieść Maryi Rodziewiczówny, 19 Jedna z liter alfabetu greckiego.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) M. Rodziewiczówny: „Nowele“; 2) Kalendarzyk kieszonkowy na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 50 (1921).

Logogryf: M, Opa, 1, iły, osa, sum, Kudak, Pasek, Jokaj, Stradom.

Okienko. Gopło, Purim, Osman.

Zadanie do uzupełnienia: Baku, Oran, ryba, yard, Sawa, ława, Apis, woda

Kwadrat magiczny: Pera, emir, Rigo, Aron.

Zadanie do uzupełnienia: Żaba, Ezap, Lena, Igor, gama Omar, woda, Soła, Kama, Iran.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: E. Latawski Wojnicz H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, S. Węgrzyn Kraków, W. Komperdowa Lwów, R. Mąka Kraków, W. Smiszkiewicz Milówka, P. Lachmanówna Lwów, J. Skowroński Tłumacz, M. Stachowicz Kraków, S. Gielitowicz Lwów, M. Sikorska Tarnów, J. Müller Biała.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Sikorska Tarnów, (powieść; 2) J. Müller Biała, (Przewodnik). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 25 marek.

Wydawcy i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego